STRONA CZYTANA

numer 8/2021

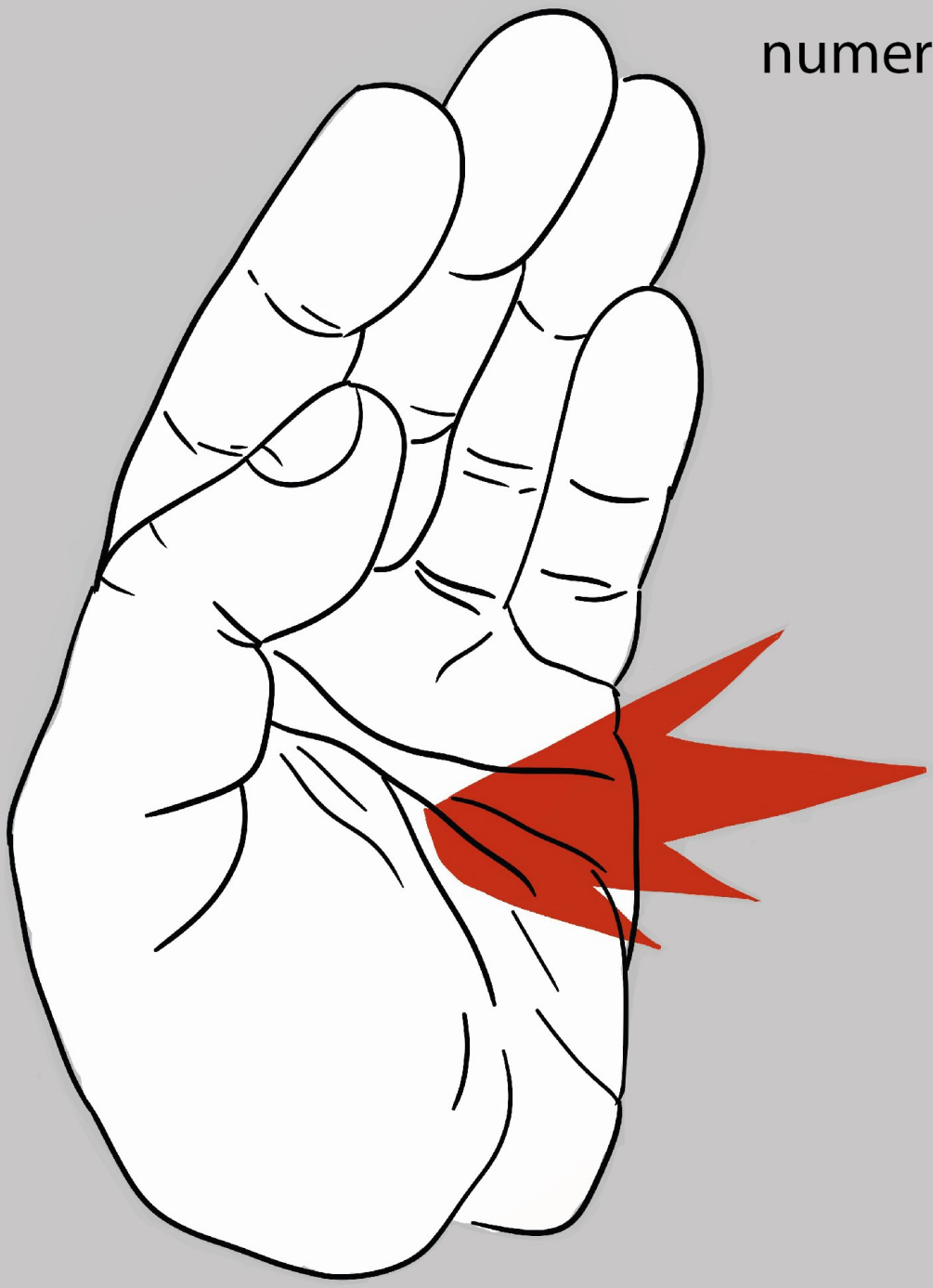

STRONA CZYTANA

Redakcja:

Piotr Borkowicz,

Kamil Galus,

Patrycja Sikora

Korekta: zespół redakcyjny

Oprawa graficzna: Krzysztof Schodowski

Logo: Jakub Pszoniak

Spis treści

WSTĘP **4**

POEZJA **5**

Dwojnych 6

Kobus 9

Kotłowski 13

Mytnik 17

Osowiecka 20

Sadulski 23

Sagi 28

SZEŚCIOPAK 32

I. Filipowicz 33

II. Jarmużek 34

III. Król 35

IV. Owczarski 36

V. Szokalski 37

VI. Woźniak 39

PROZA **40**

Dalasiński 41

Kądziela 47

Koralewska 60

Maślanek 63

Paczkowski 66

Poklękowski 71

Zapalnik 75

ROZMOWY NA STRONIE **77**

Sorry not sorry. Raport: wibracje 79

Rozmowa Piotra Borkowicza z Przemysławem Suchaneckim 79

STRONA WOLNA **85**

Artym 86

Jankowski 90

Janyszek 94

Matczak 97

Obara.....104
Wątor 109

WSTĘP

ZOZI się skończył, rzutem na taśmę otarliśmy plastikowe łezki, zamieniając je w srebrne łuski. ZOZZ, nawet nie próbuj kąsać.

Redakcja Strony Czynnej

POEZJA

Anna Dwojnych

Urodzona w 1988 r. poetka, absolwentka socjologii i filozofii UMK. Autorka dwóch książek poetyckich, dwukrotna finalistka projektów Biura Literackiego. Mieszka w Warszawie, Płocku i Toruniu.

Czas rodzenia i czas umierania

kto mieszka w routerze, kto mruga?
pustosłowia, pustostany.
z pustymi rękami *zostać*
bardziej prawdopodobne niż iść
i nie grzeszyć więcej, dlaczego:
więcej bardziej niż *dlaczego*
grzeszyć? w drzewach drzemie ćma my
też powinniśmy.

***

wyprowadzka, kot znaczy *bezczelny*
(jest agresorem)

protestuję!

kot i zrozumienie
(także agresora)

słowa na „A”

agresja
apatia
anihiliacja

Adoracje

Clark Gable patrzy
jakby chciał mnie zjeść albo obrzygać
albo koniunkcja

Wojciech Kobus

Slamer, muzyk, performer, nauczyciel języka polskiego. Mistrz Polski Slamu z 2020 roku. W 2021 r. występował na slamach międzynarodowych, takich jak Grand Poetry Slam, World PoeTwitch Slam, European Championship Poetry Slam. Na co dzień ukrywa się pod pseudonimem Smutny Tuńczyk.

Szklanka

morda nie szklanka
choć to zależy od interpretacji

mamy tradycję
nie jeździć na SOR
nie wzywać policji
nie mówić nikomu

wyszło tradycyjnie – mówisz
ale wiem, że gdzieś narodziła się nowa świecka tradycja
opłatek w galarecie
żywy karp
niemy pies
grube ryby w adidasach

na bezrybiu człowiek świnia
a tutaj?
jak żyć panie premierze?
pochylając się biorę ostatni gryz mydła

give me some fish

give me give me some fish

I
badania dowodzą
wszystko wpływa na wszystko

II
ryba to nie mięso...
człowiek to nie woda

III

boisz się świętego Mikołaja

zjedz rybę

zapominasz odebrać dziecko z przedszkola

zjedz rybę

uderzyłeś sztandarem szkoły w trumnę zmarłego kolegi

zjedz rybę

IV

ile zarobił facet przebrany za rybę w pewnej kampanii reklamowej

ile zarabiają w święta renifery, elfy i wszyscy święci

ile biorą za mecz maskotki klubów sportowych

ile kosztuje wynajem stroju na bal przebierańców

V

pieniądze wpływają na wyniki badań

VI

źródła finansowania wpływają na wyniki badań

Jak cię widzą, tak cię piszą

starożytni kapłani przebierali się za ryby

teraz pozostał sam kontur

ale ja widzę waginy

zamiast mitry

noszą na głowach waginy

noszą na głowach waginy

Morze czerwone

Mama jest rybą tylko raz w miesiącu
jak się stresuje rzadziej

mówi do mnie
zimny hot dog
i nie będziesz nigdy
dla nikogo konikiem morskim

<smutnabuźka>

we śnie jestem transpłciowym mężczyzną

Maciej Kotłowski

Ur. 1976 w Gdyni. Poeta, malarz. Wydał Czytankę w serii audio-biblioteki „Blizy” (2009) i zbiór wierszy noc kumania (2011). Autor jednego z komiksów do wierszy, zawartych w antologii Powrót Barbarzyńców i nie (2013). Publikował m.in. w „Autografie”, „Poboczach”, „Blizie”, „Arteriach”, „Cegle” oraz w magazynach cyfrowych: „Stronie czynnej”, „ Stonerze polskim” . Mieszka w Wejherowie.

Na przerwę

Swąd z energetyków. Landrynki w kwasie trawiennym.
Dziewczyny i chłopaki przed szkołą o profilu wojennym. Nos
dwuskrzydłowego wejścia, rozbity ucieczką.
Wypuszcza dym dezerterów na czas przerwy.

Nie masz strategii, że nauczyliśmy się tam
prowadzić wojny z ciałem, czasem i szatanem
pod postacią wysychającej paprotki.
Oczami zaprószonymi kredą wciągać przyszłość z mączki kostnej.

Tylko pokonać łączkę mostną. Tylko pokonać most tęczowy od łez.
Od ust sznurować wojskowe trupięgi.

13 09 21

Pełni suspensów i jasnych wątków

Ze śliną miętową przez kilka chwil, rozkładamy nogi
i rozkładamy języki. Nudzą nas te piosenki. O, ale jak
mogą nas nudzić. Łobuzki i łobuzy o niewinnych twarzach
orzeszków ziemnych, grzebią w telewizyjnej spiżarce.
Gdy anorektyczny wiewiór, roznieca
lepki płomyk na zakrętce od słoika, żeby nas opalić. Jak robaki,
piękne gwiazdy, podziurawione gwoździem,
żeby było czym oddychać i po czym brodzić
pomimo mułu na powiekach. Odkąd straciliśmy melodię
do życia w ciszy przysposabia nas odbiornik marki Popiel,
nadający ze spiżarni, pełnej świecącej szarości.

17 08 21

Wojna i pokój

Wracają ze szkoły, jak zwykle, o profilu wojennym,
w mundurkach polowych i patrzą na opuszczony budynek przy torach.
Sam brud i syf tam jest. Na palcach robią krzyżyki zabezpieczające.
Sam brud i syf tam jest. Menele sobie pokój urządzili.

31 05 21

Bilbord stelaż

Kadr po reklamie, płaski szkielet koralowca,
wypełniony kiedyś wycieczkami nad oceany.
Trzyma się dzięki znaczącej podstawie dla stylu:
chciej wyraźnie należeć do źródeł w kolorze laguny.

Teraz rama obejmuje osiedle i las za obłamane ręce.
Pieśni pod klatkami i kwitnienie powietrzne.
Teraz szkielet się rozpuszcza, rdzewieje na deszczu
słodkokwaśnym jak pocałunek po hot dogu z żabki.

Jednak wciąż trzyma ciężar dyslokacji.
Wciąż uwalnia w trybie czarnych wakacji
i filtruje nasze jamochłony, ukwiały
z resztek tutejszego, wielkiego błękitu.

05 05 21

Ostatnia klasa

Rozbełtane błękitem i betonem, oczy
wiosenne. Dni składają obrazki, a zmierzchy rozmontowują.
Przyjęte na miejsce, w klasie zajętej przez obrazki.

Wypchany aligator, a może młodziutki krokodyl.
Serce w słoiku. Kanapki w plecaku. Idź
dalej sam. Obejmuj stanowiska
jak ciebie obejmuje bezrobotna iskra.

31 05 21

Michał Mytnik

Robi rzeczy, mieszka w Krakowie. 31 maja 2021 roku w Biurze Literackim ukazał się jego debiutancki tom wierszy „hoodshit (griptape)”. Więcej info na: facebook.pl/HoodshitGriptape.

Wyglądasz jakbyś wygrała z brokatowym kosmitą

Spotkałem marmur, z którego schodzą promienie,
nie dzwoń na Polis, kiedy zimą spadają stopnie.
Ciało porasta mój luźny szkielet związany na węźle:
wodniste zamiecie i mag:: typu magma minus coś.
(stworzenie)
Trochę tu cappucinowo, ale prastaro jest nieść
trzy garści manny jak przesącz, nieczysty filtrat.
Działkowe słońce pali ramiona, my jego ramy, martwi
galaktyka w lokach i przestrzeń krótsza niż rzęsy.

Feretrony

trochę mnie poniosło
i jestem na zejściach,
które połykają
podobnych mi:

Piję sok z kamieni,
ma posmak tofu
na samym końcu
receptorów mięsa.

Piję sok z kamieni
– okap kosmosu
i zapycha brzuch
jak parząca zupa.

Piję sok z kamieni.
o strukturze potu,
lepki jak kryształ
z krain zza torów.

Piję sok z kamieni
– łożyskowy powidok,

wszystko się kręci,
by się zapomnieć.

SAMO

Bóg we mnie wierzy,
ja stoję na wieży
i pluję wnętrzami owoców.

Wulkanizacja podłóg to tylko wodne kolana,
przemiał dywanów na miraż, spanie oddane do magla.

Pozdrawiam Was, Szkielety,
których letnie kurtki
porzucone w szatni
zostały numerkiem dla haków.

Na nocnych zmianach
wciągamy grzywki Aniołów
i zaczynają się ludzie rozkręcać,
rozrywać swe duszne pola,

przepięknie uśmiechać w promieniach śliskich kanap,
całować mikrofalę za źle dobrany program, całować.

Jeśli pestki byłyby kośćmi, już dawno bym skoczył.

Małgorzata Osowiecka

Ur. 1990 – psycholożka, wykładowczyni, sopocianka. Laureatka konkursów poetyckich w Gdańsku, Tychach, Toruniu, Elblągu, Sieroszewicach, Brzegu oraz Cisnej. Publikowała w Odrze, Blizie, Wizjach, Helikopterze, Niecodzienniku Towarzyskim, a także zbiorowych antologiach. Publicystycznie zaistniała w Polityce za sprawą stypendium dla młodych dziennikarzy im. Leopolda Ungera. Laureatka stypendium twórczego prof. Zbigniewa Pietrasińskiego. Wychowała się na amerykańskich horrorach klasy B, zwiedziła wschodnie i zachodnie Stany, Kanadę i Australię. Napisała doktorat z wpływu poezji na twórcze myślenie.

jestem gwiazdą k-pop

podobno światło jest wskazówką
pasy startowe, czerwone-zielone, pałeczki świetlne, jak moje nogi, które się połamią
fluorescencyjny blat stołu oślepia mnie jedzeniem, *redrum redrum*

na przykład moja skóra jest przezroczysta
i świeci się ze środka wątroba, serce i nerki
jak u lalki anatomicznej, zapala się lampka
i ona mówi *feed me feed me, go to the doctor*

w liceum w ostatnich ławkach zawsze siedziały najchudsze
grałyśmy razem w tę grę, aż wszystko promieniowało
one mówiły:

czy gdy się czeszesz patrzysz sobie w twarz
ile kalorii spala bieganie z prędkością światła
twoje nogi wyglądają jak pałeczki do sushi
ile kalorii straciłabyś, będąc na marsie
wiesz, że twoja głowa jest jak lizak

moja wychowawczyni stwierdziła nawet kiedyś,
że w głowie mam tłuszcz i miała rację
on wycieka, parzy jak azot

muzeum neonów

nic tu nie jest takie, na jakie wygląda
gardło jest suchą rynną
na dzieciach są zmarszczki
drzewa strzelają do siebie
ludzkie kształty nie są ludźmi

już jest się małym, ale jakby było się
mniejszym 50 razy

to może przeszłoby się przez dziurę w płocie
albo na czyimś pancernym bucie, ale nie
- oczy i tak by świeciły. niby to oznaka życia,
a jednak za dużo tych oczu w ziemi. za bardzo
się świeci błoto z moją zimną matką
jarzy trawa z moim głodnym ojcem
strach, że nas tam znajdą, ale i tak

świecimy do końca, do jutra, na raz, dwa, trzy

kiedyś będziemy w gablotach
pomiędzy dużą bitwą a małymi kotami

będziemy rozgrzeszać światło
neony łapać w dłonie, choć one
będą już jak lód

Bartosz Sadulski

Urodzony w 1996 roku w Namysłowie. Poeta, dziennikarz, redaktor. Autor tomów poetyckich „Post”, „Tarapaty” oraz „Mniej niż jedno zwierzę”. Stały współpracownik magazynu „Dwutygodnik”, sekretarz redakcji kwartalnika „Herito”. Mieszka w Nowej Hucie. „Rzeszot” to jego prozatorski debiut.

po ptakach

w ogrodzie botanicznym
niedługo po pierwszym śniegu
spotkaliśmy lisa – nadaliśmy
mu imię którego nie pamiętam
chociaż minęły trzy tygodnie
w czasie których zdążyłem zestarzeć się
o rok albo dwa o tyle samo zmądrzeć
i zmęczyć się bezsennością którą
spędzałem wpatrując się w zostawione
przez ciebie spinki – wyglądają jak
dwoje ludzi którzy nigdy się nie dotkną
bo nie mają rąk

reznikoff

obudzony w środku nocy
czytam kilka stron wierszy
piję herbatę i myślę o tobie
jak przewracasz się z boku
na bok a po żadnej ze stron
mnie nie ma

spa

przejdź przez to co czujesz
w najlepszy dla siebie sposób

czyli jak: zaczynając od ruchu stóp
a kończąc na akwizycji wzruszeń
w nadmorskim kurorcie gdzie
rżnąć nam każą w darta choć tarcza

nosi znamiona zużycia czy
zaczynając od ruchu dłoni
w kierunku spa gdzie doznawaliśmy
uszczerbku a kończąc na antypodach
tej antypolskiej histerii? to projekt
o nieznanym rozmachu kumulacja
liczmanów i szaszłyk z truizmów
wypełniający rozdziawione gęby
muzyka wyższych sfer zagrana
na wyzysku dronach i flecie
melodia idealna na podróż
przez to co czuję: gdyby nie fakt
że brodzę zaśpiewałbym wesoło
śmiech w kościołach i śmiech w bramach
śmiech na kopcu kościuszki tymczasem
najlepszy sposób istnieje na papierze:
trzeba gumować
a resztki delikatnie zdmuchnąć

pomarańcze

mógłbym jeść ich więcej
ale trudno się zdecydować na zakup
owoców w tak grubej skórce nieraz to
zakup kota w worku dlatego cieszą
naklejki na awokado gotowe do zjedzenia
idąc tym śladem węglowym
czy nie zasłużyliśmy na więcej jasnych
komunikatów? więcej naklejek to mniej
rozczarowań i nieporozumień: naklejki
na owocach i ludziach na przykład jestem
zajęty lub proszę mnie nie budzić choćbym
miał jeździć od pętli do pętli śniąc o

soczystych pomarańczach o tonach
pachnących sycylijskich pomarańczy
co do których nie ma wątpliwości
że są smaczne: ile takich pomarańczy
dziennie wyciska się w krakowie na
sok? ile w barcelonie? słowo statystyka
pochodzi od słowa państwo zatem spożycie
pomarańczy należałoby wyrażać inaczej
niż w nieludzkich tonach może łącząc geografię
z poezją: ilość wyciśniętych w krakowie
pomarańczy zdołałaby pokryć cały luksemburg
skórkami albo dokąd by poprowadziła droga
ułożona z obierek? ostatecznie wyobraźmy sobie
ile to ciężarówek koszyków w biedronce
i zadowolonych buź – tak wielkie liczby
mogą przerażać gdy myśleć o kurczakach
ich pachnących skrzydełkach wystających z pudełka
zgrillowanych koalach w australii
przerażające żniwo żywiołu to pół miliarda
to nie liczba ale naklejka którą
zdrapuję myśląc o pomarańczach

epitafium

wybacz rybiku cukrowy który spoczywasz w rogu
łazienki czekając na pogrzeb ale skazani
jesteśmy na siebie ty i twój rozkład ja i mój
przybierasz kolor fugi rybiku a twoje ciało
przypomina sprasowaną monetę
którą ktoś połknął i przetrawił po czym wydalił
twoi bliscy przychodzą po zmroku i debatują nad kosztem
pochówku: nie lekceważę ich smutku żałoba
powinna trwać tak długo aż ktoś za nas nie

posprząta wtedy wypada wziąć się w garść
obejrzeć kwaterę i machnąć epitafium

Misza Sagi

Pracował w różnych miejscach, bujał się tu i ówdzie. Publikowany, ale wciąż debiutuje, coś tam kmini, kombinuje. Lubi sport (czynnie: tenis stołowy, biernie: sumo), muzykę (jakieś *lofi/chill beats to relax/study to, doomer music vol.,* etc.), książki, podróże, ogólnie różne takie (takie).

SimulateYourOwnUniverse.exe

Intro:
A. żadna cywilizacja nigdy nie osiągnie poziomu technologicznego który umożliwiłby jej stworzenie symulowanych rzeczywistości lub osiągnąwszy go bezpowrotnie ginie
B. cywilizacje które opracują technologię umożliwiającą generowanie doskonale imitujących rzeczywistość symulacji natychmiast tracą tym zainteresowanie
C. wszyscy żyjemy w symulacji

jeśli dwie pierwsze możliwości są fałszywe trzecia musi być prawdziwa
wirtualnych światów i symulowanych w nich postaci jest nieskończenie więcej niż realnych
(nick bostrom)

wyjechać jak jonasz z brzucha miasta
rozbierać się w kinie drive-in filmem jest niebo
prorocy nas zapowiedzieli kometa przywiodła

george smoot: rzeczywistość jest generowana w momencie interakcji
george berkley: świat istnieje bo bóg jest podglądaczem
zadzwonił raz z zastrzeżonego chyba przez przypadek

ojczyzna pańszczyzna narodowy katoszariat
tęczowy kapitalizm glovo uber eats dieta pudełkowa
sos gratis fullcap airmaxy styl ponad wszystko

wolność to zrozumieć że nie mamy wolnej woli
dążymy do zaspokojenia nie wybierając pragnień
mielę słowa wyzyskuję jestem wyzyskiwany

rzadkie metale z konga śmieci eksportowane do nigerii
przemytnicy koki indianie walczący z coca-colą
marokańscy dżihadyści eksporterzy zioła

smakować życie jak tika masala i gong bao

czuć jego puls jak bas w samochodzie
wodzić palcem po linii obojczyków

świat to susz do bonga
lecę za kometą
oślepia mnie ciemność

nie przyszedłem pokój przynieść ale pozamiatać

od krańca po kraniec ziemi panuje władza tyranii
od wieczności bez początku po wieczność bez końca
trwa królestwo ubogich
(hafiz)

wieloświaty jak wielosztuki więc w którymś z możliwych światów
uczę się odróżniać kosa od kwiczoła jerzyka od jaskółki

wyhodowałem naręcza awokado nie karczując sosnowych lasów
dodo nie wymarł sankiuloci wygrali rzym nigdy nie upadł

śnimy o elektrycznych owcach metabolicznym komunizmie kosmicznym
w pełni zautomatyzowanym magazynie przesyłek w szanghaju

wielkim wybuchu który stworzy świat bez entropii
jaźni która nie może umrzeć ani się narodzić

bóg to nadmiar bytu naskórek zrogowaciałej pięty grana padano
przemieniam wodę w hojiche ja jestem drogą prawdą i życiem

przepowiadam dzień apokatastazy kmwtw
gdy ubywamy jesteśmy najpiękniejsi

you are the party

jeśli nie potrafisz znaleźć prawdy tu gdzie jesteś
gdzie indziej spodziewasz się ją znaleźć
(dogen)

preppersi zippisi yuppisi przyjdzie zoomer i was zje slowdeath sewerslvt
co kilka sekund respawnuje nas oddech śnimy na jawie jawimy się we śnie
co dwadzieścia pięć minut wymiera kolejny gatunek podbija londyńską scenę rave

na podstawie analizy ścieków: wzrosło spożycie w krakowie (1000 os/5.5 mg)
burial blue stilton molly wensleydale speedball gorgonzola acid bleu d'auvergne
sadgrls & sadbois silent disco trumpets of jericho apocalypse cigarettes after sex

co dzieje się w klubie zostaje w nosie co wchodzi nosem wychodzi kosmosem
system ekspanduje poprzez ekspulsję gdzie kończy się teknival zaczyna kapitałocen
galaktyki zwijam w tutkę wypuszczam zatrutą strzałę

SZEŚCIOPAK

I. Gabriela Filipowicz

Ur. 1997, warszawska poetka, okazyjnie bywalczyni slamów, studentka Artes Liberales przeżywająca kryzys tożsamościowy w związku z zakończeniem studiów na Wydziale Filozofii pół-filozofka kontynuująca te studia w zaciszu własnej sypialni, w wolnych chwilach pięściarka przerzucająca ploty razem z żelastwem na siłowni. Należy do Klubu Kołowego Zrzeszonych Literatek/-ów istniejącego w cieniach przy Wydziale „Artes Liberales".

II. Tomasz Jarmużek

Poeta.

III. Mira Król

Urodzona, w dniu jej czwartych urodzin światło dzienne ujrzała płyta „Nevermind" Nirvany, która kilka lat później mocno namieszała jej w głowie. Absolwentka pedagogiki, socjoterapii i logopedii, ciągle jej mało. Mieszka na mazowieckiej wsi. Wychowuje córkę i syna, pisze. Publikowała w Helikopterze, w Migotaniach i Drobiazgach. Znalazła się w gronie laureatów piątej edycji Małopolskiej Nagrody Poetyckiej ŹRÓDŁO. W 2021 roku ukazała się jej pierwsza książka, nie lubi o niej mówić, myśliwytrych. Gdy ktoś pyta, co aktualnie robi, odpowiada: „Szwendam się". Na deficyt zieleni poleca: pola, łąki, lasy i rower.

IV. Gustaw Owczarski

Ur. 2003. Działa w Extinction Rebellion, do czego was wszystkie zaprasza. Jest ambasadorem Otwartego Uniwersytetu im. Karola Modzelewskiego, do czego zaprasza wszystkich licealistów. Publikował w „Kontencie" i „Stonerze Polskim". Mieszka w Warszawie.

V. Kajetan Szokalski

Ur. 1993r. – pochodzi z Warszawy. Zadebiutował opowiadaniem „Dziury" w kwartalniku Strona Czynna. Obecnie stara się o wydanie dwóch powieści, jednocześnie szlifując warsztat i umiejętności. Za najważniejsze uważa inspiracje płynące prosto z życia, które trzeba tylko zamknąć w odpowiednich ramach. Z zawodu tester oprogramowania, pasjonuje się piłką nożną, nałogowo czyta książki oraz średnio-wyczynowo biega.

VI. Andrzej Woźniak

1984 – urodził się i mieszka w warszawie, gdzie pracuje jako nauczyciel improwizacji kontaktowej. Publikował wiersze w internecie i na papierze, nominowany do nagrody FDF, finalista Połowu w 21.

hej bejb zawieśmy dzisiaj drugie zasłony bo budzi mnie nocą światło wieżowców

uwierają mnie ogryzki ołówków
pogubione w pościeli włosy
pachną papierosami przy każdym ruchu
przepalają się moje żarówki
halogeny G9, 600 lumenów
wiszą pod sufitem na miedzianych rurkach
dłońmi przeciągałam przez nie druty
dłońmi żeby tylko było jaśniej
i gasną jedna po drugiej
chociaż nie minął jeszcze nawet rok

rozbicie naszego wazonu bolało

bardziej niż dzielnicowe
drą się na mnie
jak ciuchy na Bannerze

otwarte klatki schodowe
proszą o szybki przebieg
podobne do pacjentów na onkologii

burdel w mieszkaniu
trzeba sprzątnąć
tego cwaniaka spod trójki

który zwinął mi ciebie
w bletkę i wypalił w pośpiechu

tylko kryształu szkoda
dobrze wyglądał na kredensie

odwilż

uchylam drzwi wystawiam mięsko na powietrze pierwsze
jak uderzenie w dzwon fala rozbiega się krąg za kręgiem płynnie czas wbija nas w kontinuum jak gwoździe pianie koguta

lubię o ciele mówić czule mięsko i wyobrażać sobie jak rozbierasz mnie mięsień za mięśniem ścięgno za ścięgnem precyzyjnym ruchem jak rzeźnik albo wilk z głodu i znowu

mam siedem lat i liczę kurwę za kurwą jak owce jak małe puchate baranki przykładam ucho do ciepłego brzucha jednookiej kotki myśl myśli wybieg i grzebię jej ślepe kocięta podobne

innym pisklętom okrywam je mokrą ziemią jak kołdrą utuczoną gęsim pierzem i miłością tak mówią w sąsiedztwie rodzą się tu tylko martwe dzieci mruczę im nieme kołysanki są bezpieczne

miewam krótkie ataki paniki
wszystko co przyszło odchodzi
miewam się

Gustaw Owczarski

Traumacore

Miała być zamknięta na zawsze
Jednakże najsampierw naciśnij na klamkę
-Tonfa

Znowu nie czuję się w swoim
Ciele to niedobrze?
Screenshotuję backroomy i się
Ostrzę na RRSO −1% co?
I mean it like it is like it sounds
Skoro brać
Tysiąca jeden backroomów
Wychodzi z tłumów tłumem do
Tyłem do thats too much men ów oof
Back it up! Giorgio Jerycho
Wymyśliłem se go? Na poczekaniu w locie
Ptaków na wieczór leciały z wyścigów (takie tory do gonitw koni i ogólnie tereny zielone) do centrum a sowa huczała mi na nerwy takie zielone od mrugnięcia oczkiem bo mrugasz tylko z centrum które ma tereny zielone
Giorgio Jerycho: Co mają w dziobach
, już wam mówię raz robale raz śmieci i tak to się kręci
To ty?
Mnie dysocjujesz dzięki :))

EATS

zamówiłem podwózkę, zmęczony nocnym towarzystwem,
zmęczony udawaniem,
że jeszcze się dobrze siedzi

taki komfort przewozu to najbliższy substytut teleportacji, jaki wynaleziono;
jeden przycisk uaktywnia portal
otwieramy drzwi i jak się postaramy
(czytaj: zaśniemy)
to wychodzimy pod domem,

szybko i prawie bezboleśnie

znienacka, zza zakrętu,
w moim zaułku zaskrzeczały hamulce;

w chmurze dymu
papierosowego
wydobywającego się z układu oddechowego kierowcy
domyśliłem się, że musiała zajść pomyłka

zardzewiały składak przywiózł stare cielsko kierowcy,
którego plecy zdobiła zielona kostka plecaka;
mierzyliśmy się spojrzeniami
on, znudzony;
ja zmieszany.

- pomyliłem się, przepraszam

alkohol, zły towarzysz spotkania z którego wychodzę, wybrał za mnie
z dopiskiem
EATS

kierowca
wciąż otulony dymem
splunął, wyrzucił niedopałek
a przede wszystkim wzruszył ramionami

- jest, jak jest

uprzejmie pozwolił mi schować plecak
pomiędzy pad-thaiem, a rosołem
a ja usiadłem na rozklekotanym
bagażniku

tak, jak na wsi, gdy dziadko-tatko-wujko wozili mnie do najbliższego sklepu
i kupowali schłodzone butelki wódki,
a mnie nagradzali lodami w rożku,

zmowa milczenia,

a usługa to usługa
romet, czy aston martin
grunt, że dojechałem.

101 rigcz

it didn't age well
spuścizna od nasz dziadek drogi
(papa to he she they czy może trzy w jednym?
chuj wie z tymi ludźmi-hemulenami)

poza tym nie szata zdobi człowieka
a koszulka bayernu monachium
i wyniki moja droga wyniki
jesteś niczym innym jak wynikiem
pociotkiem małpy i tygrysa ze swojej dzielnicy

wracam spacerem z nowego miasta
grechuta śpiewa że ekskomunika would be so nice
zwłaszcza wiosną kiedy hasztagi
kwitną jak opryszczka na ustach anemika

jest mi tak dobrze że zabiłbym cielę

PROZA

Tomasz Dalasiński

Ur. 1986 – twórca tekstów poetyckich i prozatorskich, doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa. Autor książek z wierszami „©”, „Większe” (nominacja do nagrody im. K.I. Gałczyńskiego „Orfeusz” za rok 2018) i „Póki nie żyjemy”, książki prozatorskiej „Nieopowiadania” oraz książki krytycznej „Jadąc do ciebie. Szkice o poezji Jacka Podsiadły”. Stypendysta MKiDN, Miasta Torunia, Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego oraz ZAIKS w dziedzinie kultury. Zimą 2021 ukaże się jego najnowszy tom poetycki *Wiersze z powietrza, głodu, ognia i wojny*. Obecnie pracuje nad tomem próz pt. *Przystanek kosmos i 29 innych pieśni o rzeczach i ludziach*.

Kąpiąca się

Tamtego roku lato wyjątkowo mocno dawało się we znaki mieszkańcom Zadupia. Zadupie wcale nie nazywało się „Zadupie", wołano jednak na nie w ten sposób od czasu, kiedy okoliczna ludność zyskała wystarczająco wysoki poziom samoświadomości, żeby swojego miejsca na ziemi nie określać dłużej mało wyrazistym i nieco wypaczającym faktyczny charakter miejscowości mianem „wieś", lecz poszukać czegoś, co lepiej oddawałoby jej idiomatycznego, niepodrabialnego, sprowincjonalizowanego do granic przyzwoitości ducha. Zadupie było bowiem zadupiem ze wszystkimi tego konsekwencjami: leżało daleko od wielkich miast i mniejszych miasteczek (od największego w okolicy miasta powiatowego dzieliło je niemal trzydzieści kilometrów), na uboczu głównych dróg krajowych, poza zasięgiem sieci kolejowej, po prostu – na tak zwanym wygwizdowie. W świat wywoził stamtąd ludzi jeden jedyny PKS zatrzymujący się w przelocie i jakby przypadkowo na jednym jedynym ocalałym przystanku autobusowym o popękanym dachu z eternitu i ścianach zabazgranych amatorskim graffiti. Wyjeżdżający zwykle wracali do Zadupia, ale nie raz i nie dwa zdarzyło się, że któryś, zwłaszcza młodszy, miejscowy wsiadał do PKS-u i tyle go widziano.

W Zadupiu była kiedyś szkoła, ale zlikwidowano ją, a dzieci skierowano do dwóch innych pobliskich placówek edukacyjnych. Była tam poczta, lecz zamknięto ją na cztery spusty, a listonosza i półetatową naczelniczkę przeniesiono kilkanaście kilometrów dalej, do budynku urzędu gminy. W Zadupiu stał też kościół farny, ale ze względu na coraz mniejszą liczbę wiernych zrobiono z niego filię innej parafii i ksiądz zjawiał się w nim jedynie w niedziele i święta na mszy o 8.30 rano (każda taka msza stanowiła zresztą centralne wydarzenie w życiu wsi). W Zadupiu funkcjonował wreszcie sklep z mydłem i powidłem, który był jednocześnie pijalnią wódki, i jednostka OSP stanowiąca dla owej pijalni zasadniczy trzon konsumencki.

Zadupie istniało od prawieków, ale jeszcze nigdy w jego historii, przynajmniej w tej historii, którą dało się ogarnąć pamięcią bezpośrednią albo opisać przy pomocy koncepcji pokoleniowej transmisji wiedzy, nie zdarzyło się tak gorące lato. Nikt, nawet najstarsi mieszkańcy, nie pamiętali, aby temperatura pod koniec czerwca łamała wszelkie standardy, od prawie dwóch tygodni nie schodząc poniżej 35 stopni. Z nieba nie spadła ani jedna kropla deszczu, konarami zasuszonych drzew nie wstrząsał żaden podmuch wiatru, wyraz „burza" niemalże znikł z zadupiańskich wokabularzy. Skwar, upał, żar, spiekota – oto rzeczowniki, które odmieniano wówczas przez wszystkie przypadki, na zmianę z pojawiającymi się w wyraźnej funkcji ekspresywnej słowami typu „kurwa", „chuj" i „jebać".

Mieszkańcy Zadupia radzili sobie z palącym słońcem tak jak potrafili. Zwykle sprowadzało się to do tego, że w godzinach największej potencjalnej ekspozycji zaszywali się w najchłodniejszych punktach domostw, zaś w pozostałym czasie wykonywali prace polowe i gospodarskie, zabezpieczając głowy zwiniętymi szmatami lub czapeczkami, i obficie polewając się po szyi i ramionach kranówką przelaną do butelek po wodzie Bonaqua.

Sytuacja Izy, dwudziestotrzyletniej sprzedawczyni pracującej dorywczo w sklepopijalni, na co dzień studentki pedagogiki na wydziale zamiejscowym pewnej państwowej wyższej szkoły zawodowej, była już znacznie trudniejsza. Izie za cały arsenał w walce z wysoką temperaturą musiał wystarczyć podarowany jej przez właściciela niewielki wentylatorek

na dwie baterie typu AAA. Wentylatorek generował znacznie więcej hałasu niż schłodzonego powietrza i był bardziej środkiem służącym zagłuszeniu wyrzutów sumienia szefa niż czymś, czego działanie może przynieść jakiekolwiek wymierne skutki. Iza musiała więc uciekać się do innych sposobów obniżania temperatury rozgrzanego ciała: czasem wkładała głowę do lodówki z piwem, czasem przytykała do czoła i piersi oszronione butelki coca coli, czasami nawet wyjmowała z zamrażalnika lody typu bambino i panda, jedyne dostępne w całym Zadupiu, i delikatnie masowała nimi skórę, a gdy zaczynały mięknąć, odkładała je z powrotem. Wszystko to jednak dawało zaledwie chwilową ulgę. Któregoś dnia Iza postanowiła, że zaraz po zamknięciu sklepu pojedzie rowerem nad pobliski staw i zażyje chłodzącej kąpieli, która zmyje z niej nagromadzone przez wszystkie poprzednie dni pot, brud i zmęczenie. Z uśmiechem na ustach i słabo skrywanym pośpiechem obsłużyła ostatniego klienta, najemnego robotnika rolnego, który wypił duszkiem piwo i poleciał dalej do jakiejś pracy, wyłączyła światło, zamknęła drzwi, zasunęła kratę, zatrzasnęła kłódkę, wskoczyła na rower i ruszyła przed siebie.

Staw znajdował się na uboczu wsi, jechało się do niego polną drogą obok kościoła i cmentarza, w odpowiednim momencie, jakieś sto metrów za leżącym na poboczu głazem polodowcowym ze względu na swój obły kształt nazywanym „banią", skręcając w lewo. Nie był przesadnie duży – ot, zwykły, częściowo zarośnięty rzęsą i trzciną, otoczony gęstymi krzewami akwen, w którym leniwie pluskały się płotki, leszcze, karasie i żaby. Z jego wód często korzystali lokalni gospodarze, pojąc w nich wyprowadzaną na okoliczne łąki rogaciznę.

Sklep dzieliły od stawu mniej więcej trzy kilometry, Iza dojechała więc na miejsce w kilka minut. Delikatnie oparła rower o przerośnięte gałęzie derenia kwiecistego, rozejrzała się, upewniając, że w pobliżu nie ma nikogo, i niespiesznym ruchem zsunęła z siebie letnią wiskozową sukienkę w kolorze brudnego różu, ukazując światu białe majtki tanga i koronkowy stanik. Po chwili pozbyła się także bielizny, starannie składając wszystko w kostkę i chowając pod krzakiem. Zamknęła oczy i wciągnęła w nozdrza porządną porcję powietrza, niemal natychmiast czując w gardle kłujące uderzenie gorąca. Przez pewien czas stała tak, nie otwierając oczu, całkowicie naga, z potem spływającym jej z czoła po twarzy, szyi i piersiach, z poskręcanymi jasnymi włosami sięgającymi do ramion, ze stopami wetkniętymi w rozżarzony piasek. Po kilku sekundach zbliżyła się do nieruchomej tafli, przykucnęła, palcami prawej dłoni sprawdziła temperaturę wody i powoli zanurzyła się aż po brodę. Wilgotna, ciepła, gęsta ciecz osiadła na jej skórze i przyjemnie oblepiła całe ciało, wnikając w każdy jego zakamarek. Iza zaczęła pluskać się w stawie ze swobodą i radością dziecka, które po raz pierwszy w życiu, dzięki temu, że jego rodzice przez cały rok skrupulatnie odkładali pieniądze z najniższej krajowej pensji, mogło wykąpać się latem w Bałtyku. Tnąc dłońmi nieukorzenioną powierzchniową roślinność, kilkukrotnie przepłynęła stylem motylkowym z jednego brzegu do drugiego, zatrzymując się ostatecznie w najbardziej ocienionym miejscu, żeby nabrać powietrza, a później wyjść z wody, położyć się i trochę odpocząć.

Kiedy już siedziała na trawie i wyżymała włosy, wydało jej się, że w krzakach naprzeciwko coś się poruszyło. Zerknęła w tamtą stronę i momentalnie zamarła. Między gałęziami dostrzegła wpatrzone w nią, jaśniejące, wielkie, błękitne oczy. Oczy, które w tej samej se-

kundzie zamknęły się, a następnie pospiesznie oddaliły wraz z ich posiadaczem. Iza podniosła się i spojrzała w dal; na polu obsadzonym ziemniakami ujrzała biegnącego w kierunku wsi młodego chłopaka w krótkich dżinsowych spodniach, w podartej koszulce na ramiączkach, o charakterystycznej, bujnej blond czuprynie, z wędką samoróbką w ręku. Była niemal pewna, że go poznała – to Sebastian, syn małorolnego, wiecznie zadłużonego i nigdy nietrzeźwiejącego Włodka Kończały, uczeń szóstej klasy podstawówki, ministrant. Pewnie przyszedł tutaj, żeby złowić jakieś ryby, może z nudów, a może na kolację dla siebie, matki i dwóch młodszych sióstr – dla nikogo nie było przecież sekretem, że rodzina Kończałów, utrzymując się tylko z dorywczych prac krawieckich podejmowanych przez panią Kończałową oraz z niewielkiego socjalu, należała do najbiedniejszych rodzin w gminie. Sebastiana Iza znała dość dobrze, bo nie raz i nie dwa, kiedy chłopak przychodził do sklepu po chleb i masło, a obok nie było żadnego klienta, dawała mu za darmo kawałek szynki, trochę sera albo jakieś cukierki. Kiedyś zresztą na takim procederze przyłapał ją szef, ale, na szczęście, tylko mruknął z niezadowolenia, nie wyciągając z tego żadnych poważnych konsekwencji.

Iza wiedziała, że Sebastian ją zobaczył. Wiedziała, że zobaczył ją taką, jaką ją Pan Bóg stworzył. Przez chwilę było jej z tym dziwnie i nieswojo, ale zaraz uśmiechnęła się do siebie w duchu, odczuwając pewnego rodzaju zadowolenie, a może nawet rodzaj pychy. Nie uważała się za kobietę brzydką; może nie była najpiękniejszą dziewczyną w Zadupiu, ale raczej mieściła się w jakimś TOP 5, jeśli takie rankingi w ogóle powstawały, a powstawały na pewno. Miała może nieco zbyt obfite uda i nieproporcjonalnie długie palce u dłoni, ale poza tym – tak przynajmniej sądziła – mogła podobać się mężczyznom. Nie szpeciły jej zanadto nawet dwie blizny: jedna na brzuchu po operacji wyrostka, jakiej poddała się, mając 8 lat, i druga, delikatna, na czole – pamiątka po imprezie studenckiej zakończonej gwałtownym zetknięciem się głowy z krawężnikiem drogowym. Nie uważała się za kobietę brzydką, a przez to była pewna, że nieoczekiwane spotkanie z nią Sebastian jeszcze długo będzie przechowywał w pamięci.

Była również pewna, że to spotkanie nie pozostanie ich wyłączną tajemnicą. Na zajęciach akademickich zbyt dobrze poznała psychikę dojrzewających chłopców, aby naiwnie zakładać, że z prędkością przelatującego Miga nie rozniesie się po wsi wieść o jej nudystycznym wybryku w stawie. Trochę ją to krępowało, a trochę satysfakcjonowało – Sebastian mógł bowiem nieświadomie stać się żywą, chodzącą reklamą jej wdzięków, a tym samym przysłużyć się celowi, jaki od dawna usiłowała osiągnąć: szybkiemu małżeństwu. Iza miewała chłopaków w mieście, ale z żadnym nie potrafiła stworzyć prawdziwego związku, stale tęskniąc za czymś nieokreślonym, z czym spotykała się tylko i wyłącznie tutaj, w Zadupiu. W zadupiańskich kategoriach powoli stawała się zresztą starą panną i już niedługo powinna myśleć o ustatkowaniu się, a trudno o takich sprawach myśleć, nie mając nikogo na oku. Może dzięki Sebastianowi znajdzie się wreszcie we wsi ktoś, kto zwróci na nią uwagę i wykaże inicjatywę matrymonialną? Z taką nadzieją Iza wyciągnęła spod krzaka majtki, stanik i sukienkę, ubrała się, położyła na trawie i szybko zasnęła.

W tym czasie Sebastian biegł. Biegł, mając przed oczami wilgotną, błyszczącą, fascynującą cielesność Izabeli. W sklepie zawsze patrzył na nią z uczuciem, którego nie potrafił dotąd nazwać, ale które teraz zaczęło się coraz bardziej uwyraźniać i materializować. Uczucie to

znał z kościelnych kazań i z oglądanych potajemnie z kolegami w szkolnych kiblach gazet pornograficznych. Było to pożądanie.

Sebastian wbiegł do domu, z trudem ukrywając przed matką i siostrami aż za dobrze widoczny wzwód. Przez całe popołudnie nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Kolacji ledwie spróbował, odpuścił oglądanie telewizji, olał kumpli, którzy przyszli namówić go na wieczorną grę w piłkę. Wszystko w nim kipiało.

W nocy, krótko po 23, dyskretnie wyszedł z pokoju, żeby upewnić się, że domownicy już śpią. Ojciec, pijany, chrapał przed telewizorem. Matka i siostry zasnęły w dużym pokoju. Chłopak cicho wrócił do łóżka i, mimo okropnej duchoty, szczelnie okrył się kołdrą. Przymknął powieki, a jego prawa dłoń powędrowała w kierunku nabrzmiałego przyrodzenia.

Tamtej nocy Sebastian zaliczył swój onanistyczny debiut, przywołując z pamięci obraz kąpiącej się w stawie Izy.

Trzy domy

1

Dom, w którym rośliśmy. Grzejąc się zimą i chłodząc się latem w tych czterech grubych ścianach z suporeksu, siedząc na tych krzesłach, jedząc przy tych stołach, śpiąc na tych łóżkach i półkotapczanach, wyglądając przez te okna, przechodząc przez te drzwi.

A jeśli rośliśmy w tym domu jak guz, jeżeli mnożyliśmy się w jego wnętrzu jak lamblie, żeby zatruć go sobą od środka, żeby zatruć go sobą i obrócić wniwecz?

2

Dom, który nas woła. Który sam sobie szuka mieszkańców i gości. Który ostatecznie nie znajduje nikogo. Czy ciągle jest domem?

3

Dom, po którym pozostały tylko drzwi. Tymi drzwiami miejscowi chłopi przykryli kiedyś ciało niemieckiego żołnierza pozostawione przez wyzwalających te tereny Ruskich na polu obsadzonym kapustą i kartoflami na pastwę dzikich zwierząt. Wykopali dół, wrzucili do niego ciało, przykryli je drzwiami i zasypali ziemią. I tak przez te drzwi żołnierz poszedł dalej, do piekła albo nieba. Na jego grobie wyrósł krzak psiej róży, który kwitnie tam do dzisiaj.

Mesjasz

Mesjasz nie przyszedł. Mesjasz nie przyszedł, chociaż czekaliśmy na niego długo, bardzo długo. Mesjasz nie przyszedł, chociaż obiecał. Nie przyszedł, bo miał co innego do roboty.

Mesjasz nie przyszedł i wiedział, co robi. Nic dobrego go tutaj przecież nie mogło spotkać. Nikt go zresztą jakoś specjalnie nie zapraszał. Wszyscy zgodnie i milcząco uznawali, że Mesjasz jest trochę nie tego, dawniej mówiono: opóźniony, nieszczęśliwy albo jebnięty. Podobno w wieku trzydziestu trzech lat bawił się lalkami, niektórzy myśleli nawet, że jest gejem. Być może zresztą był.

Mesjaszem się pogardzało, Mesjaszem się bawiło. Dawało mu się szluga i śmiało się, gdy się dusił. Sikało się do butelki po Tymbarku i kazało pić, a on krztusił się, ale łoił do dna. Pluło się na niego. Rzucało się w niego cegłami, czasem nawet tak, żeby trafić.

Ale najczęściej Mesjasza się po prostu pomijało. Najlepsze imprezy to imprezy bez Mesjasza, chyba że Mesjasz był ich główną cyrkową atrakcją. Tak było od zawsze i Mesjasz zdawał sobie z tego sprawę.

Zresztą Mesjasz nie lubił spotkań towarzyskich. Nie lubił uśmiechniętych, ulanych męskich gąb, nie lubił, gdy panienki układały dziubki do selfie, nie lubił smrodu piwa i papierosów, muzyki techno i paru innych rzeczy.

Przede wszystkim jednak nie lubił ksywki Mesjasz, którą nosił od czasu, gdy wyznał publicznie, że jest świadkiem Jehowy. I nie lubił siebie.

No więc Mesjasz nie przyszedł. Nikt się tym specjalnie nie przejął, przecież Mesjasz zazwyczaj nie przychodził – wolał szkicować w tym czasie ołówkiem pseudoartystyczne gryzmoły, czytać te swoje dziwne książki z wierszami albo wznosić futurystyczne konstrukcje z klocków lego.

Ale tym razem, 11 maja 2019 roku, Mesjasz nie przyszedł po raz ostatni. Dzień później jego stara matka, która dorabiała do emerytury jako kelnerka na wiejskich weselach, znalazła jego ciało wiszące na sznurze od bielizny przywiązanym do rury od bojlera. I odetchnęła z ulgą.

Miron Kądziela

Ur. 1994 – absolwent filozofii i elektroradiologii na UJ, publikował publicystykę m.in. w „Popmodernie”, „Artpapierze”, „Filozofuj!”, a prozę w „Helikopterze”, „Drobiazgach”, „Stronie Czynnej”, „Afroncie”, „Akancie” oraz na stronie Wydawnictwa j. Finalista Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania 2019, uczestnik Pracowni Otwartej Prozą Biura Literackiego 2021. Prowadzi bloga „Suchoty”. Mieszka w Nowej Hucie.

Tropy

Pewnego sobotniego wieczora do ojca przybył pan Grzegorz, jego kolega z pracy. Był to pękaty człowiek, ubrany w opinający się na tuszy wytarty kardigan, białą koszulę pożółkłą na kołnierzu oraz sztruksowe spodnie. Nosił krzaczaste wąsy, a na reszcie twarzy wisiał kilkudniowy, niedbały zarost. Wszedł i od progu zaczął grzebać w szafkach, wąchać buty, przeglądać lodówkę, spiżarkę i chlebak. Dokonał dokładnej inspekcji wykładziny, postukał w panele, pozaglądał w kąty i na koniec porządnie nawdychał się powietrza. W końcu orzekł z błogim uśmiechem:

– Ach, ognisko domowe, jak tu przytulnie i rodzinnie… – po czym podniósł palec i z drwiącym uśmieszkiem dodał – Do czasu! – Zaśmiał się ciepło.

Nie zwrócił się z tym do nikogo konkretnego, rzucił tylko swoją niegroźną (wręcz rozkoszną w swej pękatej niewinności!) przestrogę w przestrzeń. Nie patrzył nawet czy jego komentarz przyczepił się do kogoś, czy zainteresował pomieszczenie. Po prostu orzekał swoją notatkę i kontynuował żywot. Tata powiedział, że Grzegorz zostanie z nami na kolacji.

Był osobą o usposobieniu dość grubiańskim. Nie umiał zachować się przy stole, a jego palec ciągle szukał albo ust, albo nosa, aby czymś się zająć. Zdawało się, że nie interesowała go tocząca się konwersacja, jedynie przebąkiwał co chwilę coś pod nosem i uśmiechał się do siebie patrząc w talerz. Po kolacji zdecydowano, że Grzegorz ma zostać na noc, więc rozłożyłem mu posłanie na kanapie, dałem koc i dwie poduszki. Wodził za mną wzrokiem przez kilka minut.

– Wycofany z ciebie mikrus – rzucił tylko z tym swoim uśmieszkiem, gdy odchodziłem. Po chwili już chrapał.

Następnego dnia, w pochmurny niedzielny poranek, mama usmażyła wszystkim po dwa jajka i znowu usiedliśmy wspólnie do posiłku. Wskutek nieobrócenia jajek na drugą stronę podczas smażenia, były one jajkami nieściętymi, tj. żółtko było żółtkiem rozlazłym – nieustalonym. Grzegorz podjął tę problematykę.

– Taki stan jest potencjalnie niebezpieczny… – zaczął. – Może doprowadzić do dekoncentracji domowników, co więcej, wymuszenia na nich gry w ujarzmianie jaja. Niekonsekwentna forma żółtka, oznacza de facto nieuzasadnioną samowolkę w konstytucji czegoś tak podstawowego i prozaicznego jak śniadanie, czy nie zgodzą się państwo? Znane w konkretnej formie od zarania dziejów, ba!, symboliczne już w ludzkiej myśli obiekty jajeczne są w tym momencie skazane na indywidualną kreatywność każdego z konsumentów. I wcale nie oznacza to eksploracji swojej twórczej inwencji! Nie, nie! – Zaśmiał się. – Gdyby tak było, to postulowałbym rozlazłą konsystencję żółtka jako konsystencję domyślną! W tym przypadku chodzi o kreatywność ograniczoną, zamkniętą w ustalonych ramach, innymi słowy, zwykłą walkę z jajem, czyli znowu: tegoż ujarzmianie. Pytania?

Rodzice jednak rozmawiali ze sobą i właściwie nie zwracali na niego uwagi. Pan Grzegorz trochę się obruszył, ale po chwili przeszedł do czynności zapowiadanego bełtania żółtek w swoich jajkach. Po jego wypowiedzi wnioskowałem, że nie był z tego zadowolony. Robił także kulki z chleba i wrzucał je sobie do ust, przez cały czas uważnie przyglądając się moim rodzicom. W końcu zaczepił mnie, trącając łokciem.

– Ej, młody, nie chcę wyjść na wścibskiego, ale widzę, że jest między nimi jakaś scysja… Coś nie gryzie się to wszystko, nie pasują do siebie. Nie wiem, czy to ja jestem jakiś nie tego, czy ty też to czujesz?

– Nie wiem, nie zauważyłem nic – odpowiedziałem. Zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem, wzruszył ramionami i zaczął sypać sól na jajka.

– Na poziomie ideowym, rozumiesz, się nie dogadują – kontynuował soląc. – Inne charaktery. Słuchasz ich chociaż? – zapytał jakby od niechcenia i wstał od stołu nie czekając na odpowiedź. Poszedł usiąść na fotel, który był fotelem pstrokatym, m.in. fioletowym, sięgnął po gazetę i zaczął udawać, że ją czyta, patrząc co chwilę w stronę stołu. Po kilku chwilach matka wstała, westchnęła i złapała za torebkę. Wyszła z domu. Ojciec dosiadł się naprzeciw Grzegorza i rozpoczął lekturę leżącej na stoliku książki. Był wyraźnie rozdrażniony i tylko wodził pustym wzrokiem po literach, skupiony na czymś innym.

– Czy pan Grzegorz zostanie z nami całą niedzielę? – zwróciłem się do ojca.

– Jeśli ma ochotę – odparł znad książki, którą trzymał kilka centymetrów od twarzy. – Gdzie są moje okulary? – spytał nagle, łapiąc się za twarz, jakby przypominając sobie, że chciał czytać. Wyruszył na ich poszukiwanie.

– To już wcale nie jest taki młody facet – powiedział do mnie Grzegorz. – Nie uważasz? Wniosek można wysnuć po okularach, po tym, że ich potrzebuje. W sensie, że mu się wzrok zdążył zepsuć itp., rozumiesz. Dość prosty trop, a zarazem nie łączy się ze starością w oczywisty sposób, no słabo. Niemniej jasne jest, że człowiek to stary, zgodzisz się?

– Nie najmłodszy rzeczywiście. Myślę, że mniej więcej w pana wieku – oceniłem. Zaśmiał się serdecznie.

– No dobrze, dobrze… W to mi graj, panie dziejku, w tę stronę droga niesie, tak, tak – potakiwał i mamrotał z pełnym uznania półgębkiem. – Jestem stary, a tyś zaczepny!

Oczywiście nie chodziło mi w tym wypadku o żadną zaczepkę, ale odpuściłem. Ojciec tymczasem dalej krzątał się po mieszkaniu w poszukiwaniu okularów, po czym mruknął coś pod nosem, wziął książkę, którą wcześniej próbował czytać i wyszedł. Wsiadł w samochód i odpalił silnik.

– Z twoimi rodzicami jest taki problem – zaczął Grzegorz po tym, jak drzwi zamknęły się za moim ojcem – że oni się po prostu nie rozumieją jeden z drugą i to widać jak na gołej dłoni. Zresztą, w mojej eksperckiej opinii, aż za bardzo widać. Czyż nie powinno to być bardziej zniuansowane? Ale widocznie taka taktyka – mruknął czochrając wąs i patrząc w sufit. – To nieraz działa, no nie?

– Czemu pan myśli, że jest jakiś problem? – zdziwiłem się.

– Wystarczyło przysłuchać się rozmowie, mikrus. Nie słuchałeś? Dało się odczytać, o co mniej więcej chodzi. Jakby to bardziej pociągnęli to zahaczyliby nawet o jakiś dyskurs etyczny, kto wie. Trochę niedobrze, że to zostało tak wcześnie ucięte, ale wyraz twarzy twojego ojca naprawdę ściskał za serce, gdy matka zrezygnowana odeszła od stołu. Mocna scena, bardzo dobre. Szkoda, że tego nie słuchałeś, zdecydowanie było warto, zwłaszcza że to wszystko dotyczy poniekąd ciebie – kręcił głową z dezaprobatą.

– Nie byłem zbyt skupiony.

– Nieuważnyś! Patrzysz się tylko na kulki chlebowe i tym podobne, tak myślałem. A to nie tam jest sedno rzeczy, młodzieńcze!

Zamilkliśmy. On patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, chyba spodziewając się jakiejś odpowiedzi na to, co być może uważał za zaczepkę zwrotną, po czym siorbnął bulwiastym nosem i odwrócił wzrok. Karykatura człowieka, pomyślałem patrząc na jego krzaczaste brwi, sumiasty wąs i pomarszczoną, trójkątną twarz. Taki sowi człowiek, zbyt pękaty, zbyt.

– Jedźmy za nim – rzucił Grzegorz i wstał.

– Po co? – zapytałem.

– Zobaczymy co knuje.

– Nie chcę nigdzie jechać.

– No chodźże, mikrus. Trzeba śledzić tok, tak? Co chcesz innego robić? Możesz pozmywać, liczyć kafelki na ścianie, pranie rozwiesić itp., ale po kiego grzyba? Jak pójdziesz ze mną, nie będziesz się nudził.

Ostatecznie zgodziłem się na tę propozycję, głównie z racji tego, że Grzegorz zdawał się człowiekiem skrajnie niewinnym, niegroźnym i kierującym się wyłącznie chryją. Wsiedliśmy w jego zdezelowany samochód i już po chwili dogoniliśmy mojego ojca, który ledwo zdążył dojechać do skrzyżowania. Grzegorz przez cały czas trzymał do niego odpowiedni dystans.

– Niemoralne to jest. Chyba. Ale chcemy dobrze. Musimy wiedzieć co się dzieje wszak, tak? Musimy nadążać – mruczał do siebie. – Gdzie jest teraz twoja mama?

– Jak jest niedziela, to mogła iść do kościoła.

– Do kościółka, tak, tak… A ojciec nie chodzi z nią?

– Nie.

– Mhm, a więc to tak, tak myślałem. To zaraz się przekonamy, co nasz gagatek ma w planach – powiedział z nieobecnym wyrazem twarzy. Ślepia wlepione w tył śledzonego pojazdu były nieruchome, jego osobliwa twarz nie wyrażała absolutnie żadnych emocji.

Głowa podskakiwała w rytm asfaltowych wyrw. Był prawie jak w transie. Jechaliśmy monotonną, nudną drogą, czekaliśmy na światłach i przepuszczaliśmy przechodniów. Właściwie nic ciekawego nie wydarzyło się podczas naszej trasy.

Podążaliśmy za moim ojcem przez około dziesięć minut przecinając szereg dużych skrzyżowań, z czasem wjeżdżając w coraz to mniejsze i mniejsze uliczki, aż dojechaliśmy na przedmieścia, na osiedle domków jednorodzinnych. Ojciec zatrzymał się około pięćdziesiąt metrów przed nami i wysiadł z samochodu. Grzegorz wyszedł z transu, rozejrzał się dookoła i zaparkował na poboczu za innym samochodem, tak, żeby ojciec nie zauważył nas z daleka.

– Wysiadł. Co ten facet knuje? – mruczał. – Robi się ciekawie, co?

Ojciec z książką pod pachą podszedł do jednego z domów, zapukał do drzwi i po chwili wszedł do środka. Otworzyła mu jakaś młoda brunetka.

– To co, idziemy? Zerknijmy przez okno, co tam się dzieje.

Przegrałem z ciekawością i zgodziłem się. Podeszliśmy powoli na tyły domu tajemniczej panienki. Zerknęliśmy przez okno. Ojciec trzymał książkę w ręku, nadstawiał ją uśmiechniętej kobiecie i przejęty coś gestykulował.

– Nie chcę rzucać oskarżeń na wiatr, ale wygląda na to, że twój ojciec sprzedaje książki. Wiesz coś o tym?

– Nie wygląda jakby ją sprzedawał – odpowiedziałem.

Po chwili odłożył książkę na stolik i usiadł na fotelu, a tymczasem brunetka wyszła z pokoju. Ojciec siedział cierpliwie, robiąc młynek z kciuków, czasem muskając delikatnie nozdrza, aby upewnić się, że na pewno nie ma tam ani jednego paproszka. Kobieta wróciła z dwoma kubkami herbaty i chyba rzuciła jakiś bon-mot, bo ojciec serdecznie się roześmiał. Usiadła naprzeciwko.

– Patrzysz tym razem, mikrus? Siadła gdzieś indziej. W sensie najdalej jak się dało *de facto*.

– Na kolanach miała mu usiąść? – zdziwiłem się.

– A czemu nie? Taka ładna, fajna fryga, tak, tak…

Puściłem to mimo uszu i obserwowaliśmy dalej. Po kilku minutach spokojnej rozmowy ojciec spojrzał na zegarek, powiedział coś przejęty i oboje wstali. Wzuli obuwie i opuścili dom, po czym wsiedli do samochodu, no i ostatecznie ruszyli w drogę. My pobiegliśmy do grzegorzowego grata i pojechaliśmy za nimi. Podążaliśmy coraz to większymi uliczkami, skręcając kilkukrotnie na skrzyżowaniach, aż dotarliśmy do centrum. Znowu nudy na pudy, Grzegorz wpadł w trans i nieobecne ślepia wlepiał w tylny zderzak samochodu mojego ojca. Ja załączyłem radio, żeby choć trochę umilić sobie ten czas. Ostatecznie ojciec i tajemnicza kobieta podjechali pod kino, opuścili samochód i weszli do budynku. Również wysiedliśmy i przystanęliśmy przy naszym gracie.

– Co widzisz teraz, mikrusie? – zapytał Grzegorz.

– Co mam widzieć? Weszli do kina.

– Skup się! Nie trzymają się za ręce, tak? Idą obok siebie w odpowiedniej odległości, uprzejmie gaworzą itepe i tak dalej. Można zgadywać, że to tylko koleżanka na przykład. Znasz ją w ogóle?

– Nie, nie wiem co to za kobieta.

– Dobra, nic tu po nas, strata czasu. Do kina, cholibka, se poszli… – mamrotał rozczarowany. – Co w ogóle grają? – zerknął na repertuar. – Film, na który poszli, to film irański lub rumuński, jest to film czarno-biały. – Czytał dalej. – Jest to film bardzo dobry i jest to film nudny, ale to dobrze. To debiut młodej reżyserki po uniwersytecie… a nie, przepraszam, reżysera w średnim wieku, który jest w konflikcie z władzami i nie może opuszczać kraju. Przykra sprawa… – Czytał jeszcze przez chwilę i spojrzał na mnie. – Właśnie oszczędziłem ci wycieczki do kina, mikrus, wiemy już, że to film wyśmienity, właśnie przeczytałem, że na Lazurowym Wybrzeżu otrzymał nagrodę za najlepszy film antykapitalistyczny. Brawo! – Zamyślił się chwilę. – Powiedz mi, mikrus, czy twój ojciec chodzi na takie filmy z twoją matką?

– Nie, raczej nie, nic mi o tym nie wiadomo.

– Ahaś, dobra, dobra, sprawa zaczyna nabierać sensu… No, nic tu po nas, więcej się już nie dowiemy. Gdzie twoja mama chodzi do kościoła?

– Do franciszkańskiego, niedaleko naszego domu.

– Dobra, wiem, gdzie to jest. To jedźmy, mikrus, nie ma co się ociągać. Tutaj i tak już nic więcej się nie wydarzy.

Wsiedliśmy z powrotem do samochodu i ruszyliśmy pod kościół. Grzegorz pędził na złamanie karku, żeby zdążyć przed końcem mszy, gonił, sapał i stękał. Tym razem jego skupienie było potężne, przeprowadzał skomplikowane i ryzykowne manewry drogowe. Bawiłem się przy tym jak mało kiedy, przyznam szczerze. Ostatecznie udało nam się dotrzeć do kościoła na czas. Po cichu weszliśmy i usiedliśmy w ostatniej ławie, tuż obok wielkiej, kamiennej chrzcielnicy. Wypatrzyłem matkę na samym przedzie. Śpiewała religijną pieśń z wielką pasją, kołysząc się przy tym do wesołej melodii. Niedługo później msza dobiegła końca i obserwowaliśmy matkę z ukrycia, gdy opuszczała kościół. Był to widok prozaiczny, lecz Grzegorz kompletnie stracił rozum:

– Spójrz! Jakież słodziuchne, niezmącone błahością ziemskich trosk lico… Jakie płaskie i gładkie czoło! A do tego te przymrużone oczka, wesołe, śmiejące się, haha, lekko połyskujące od łez szczęśliwości! Czyż to nie piękny widok? Ten delikatny, błogi uśmiech krzyczy do mnie boską pokusą, wolny od zgryzot… Och! Twoja matka zaiste stała się bożym pacholęciem, barankiem w trzodzie, niezmiernie spokojnym, wyjętym poza ramy problematyki egzystencjalnej… Jej pytania o esencję ludzkiego żywota nie pozostały bez odpowiedzi, oj, co to, to nie! Cudowny widok! – zachwycał się, wiercąc się w ekstazie na twardej kościelnej ławie.

Matka rzeczywiście wyglądała na zadowoloną z przyjemnie spędzonego czasu przy modlitwie i mogłem stwierdzić, że jest podniesiona na duchu. Odbiór Grzegorza zdawał się jednak wyolbrzymiony. Gdy wszyscy wyszli ze świątyni, zostaliśmy w niej we dwójkę. Spojrzałem na towarzysza. Jego wzrok znów był nieobecny, wbity gdzieś głęboko w ołtarz znajdujący się naprzeciwko. Twarz była kompletnie nieruchoma i pozbawiona emocji. Grzegorz znajdował się wewnątrz swojego umysłu, był doszczętnie zamyślony, na tyle, że jego tożsamość ani o kapkę nie przezierała do świata zewnętrznego. Patrzyłem na niego przez cały ten czas i nie wiedziałem, czy powinienem czekać dalej, czy odejść i zostawić go samemu sobie. Ostatecznie trąciłem go łokciem i uchwyciłem moment, gdy wyszedł z tego transu. Mrugnął, zawiesił wzrok w kilku różnych miejscach przed sobą i w końcu zwrócił się na mnie.

– To co, zbieramy się powoli z tego miejsca? – spytał.

– Gdzie chce pan się teraz udać?

– No chyba wracamy do domu, no nie?

– W sensie do mojego domu – uściśliłem.

– No tak… Czekaj, czekaj, nie, to bez sensu, twojego ojca wciąż tam nie będzie, bo jest na tym filmie irańskim lub rumuńskim. Wróci pewnie za jakieś dwie godziny, może trochę wcześniej.

Siedzieliśmy zrezygnowani w kościelnych ławach, skazani na nadmiar czasu.

– Może pojedźmy na lody – zaproponowałem. Kierowałem się pragnieniem zmysłowych podniet, nie będę tego ukrywał.

Ucieszył się.

– Tak, mikrus, tak! To dobry pomysł! Akurat zgłodniałem.

– Naje się pan lodami? – zdziwiłem się.

– Przez trzydzieści lat mojej kariery naukowej nauczyłem się jednego: jak wchłonąć olbrzymią ilość jednakowej treści bez wymiotowania. Pięć kilo schabu czy worek prosa sycą tak samo, jak wszystko inne, choć nudzą, męczą i dręczą. Niemniej jest to możliwe, a nawet nieraz, niestety, konieczne.

– Nie rozumiem jaki jest tego sens.

– Płacą mi za to i już się przyzwyczaiłem.

Zrealizowaliśmy nasz plan jadąc do mojej ulubionej lodziarni. Ja wziąłem dwie gałki lodów – malinową i grejpfrutową, a Grzegorz zażądał dwa litry lodów cytrynowych. Usiadł przy stoliku z łyżeczką oraz z naczyniem pełnym przysmaku i zaczął wchłaniać. Zajęło mu to ponad godzinę, podczas której musiał kilka razy wstawać od stołu i płukać gardło gorącą wodą z czajnika, którą zaproponował mu sprzedawca. Ja w tym czasie obserwowałem go i czerpałem z tego niezwykłą przyjemność. Był to niespotykany okaz olbrzymiej pękatej sowy pochłaniającej absurdalną ilość wesołego jedzenia. Czy istnieje na tym świecie śmieszniejszy widok? Zacząłem się chichrać pod nosem, a po chwili nie mogłem się już powstrzymać i śmiałem się w głos. Piękna chwila. W końcu Grzegorz wchłonął ostatnie resztki.

– Dobra, fajno, nie ma czasu do stracenia – powiedział – jest już kilka godzin grubo po południu i myślę, że powinniśmy jechać zobaczyć, jak się rozwinęła sytuacja u ciebie w domu. Czy scysja się zaognia, czy nastąpił wybuch? Nie wiemy, przekonajmy się.

Wsiedliśmy do pojazdu Grzegorza i pojechaliśmy do domu. Na podjeździe stał samochód mojego ojca. Weszliśmy. Rodzice siedzieli wspólnie na welurowym tapczanie i przykryci kocem oglądali telewizję. Byli do siebie przytuleni, a ojciec smyrał nawet moją matkę po jej lewym uchu. Grzegorz przystanął w drzwiach, uważnie analizując zastaną sytuację. Podkręcił wąs, przygładził go, potarł, po czym usiadł na fotelu, po prawej od rodziców, w milczeniu, uważnie się im przyglądając. Ja natomiast usiadłem obok nich na kanapie i tak siedzieliśmy wspólnie naprzeciw telewizora, wchłaniając treści w ciszy.

Grzegorz obserwował całą tę rodzinną scenkę z coraz większym uśmiechem satysfakcji na ustach. Coś w nim rosło, coś w nim puchło, nabrzmiewał radością i już po chwili było widać, że nie posiada się ze szczęścia. Nagle wstał i z rozanieloną, wąsatą mordą zaczął podrygiwać do rytmu telewizyjnego dżingla, a z sekundy na sekundę jego szalone pląsy były coraz to intensywniejsze i bardziej agresywne. Wywijał rękami jak naćpany, pocił się i nucił. Kręcił się dookoła z kołyszącą się w rytm tuszą. Guziki kardiganu puściły i bebech rozlał się we wszystkie strony, nieograniczony. W końcu Grzegorz zastygł z wykrzywioną w błogim uśmiechu twarzą i padł na fotel. Zapadał się powoli we fioletową pstrokaciznę mebla, uciekał w niezmierzony ideał, tonął w niemo rozwrzeszczanej, pękatej rozkoszy, umierał, ginął, nikł, pełzł w głąb siebie zassany, a jego uśmiech pokryty był świeżo spienioną śliną, a jego ślepia zwilżone były od łez. Widziałem, że tożsamość jego chowała się za oczami, już niepotrzebna, spełniona, gotowa, zadowolona, zwycięska, och!

Ekstazę przerwał mój ojciec – krótką, błahą, wręcz lichą zdawałoby się propozycją:

– Może pojedziemy na zakupy?

Grzegorz otworzył oczy. Momentalnie poderwał się z fotela rozpryskując przy tym wokół plwocinę, która zdążyła mu się zebrać na brodzie. Patrzył z niedowierzaniem to na mnie, to na mojego ojca, nie mogąc otrząsnąć się z doznanego szoku.

– A więc to jeszcze nie koniec…? – wydukał pękaty mężczyzna, ale odpowiedziała mu tylko mina mojego ojca, milcząca, obrzydzona obłędną twarzą Grzegorza i oczekująca klarownej odpowiedzi na jego nagłą ofertę.

– Jedźmy, potrzebuję nowych spodni – powiedziałem.

– Wyszła nowa linia kosmetyków od Firmy Kosmetyków – powiedziała matka.

– Chciałem kupić nowy rodzaj golarki. Działa jak trymer, żyletka i zwykła maszynka, zmyślne urządzonko! – dodał ojciec przeszczęśliwy. Rzuciłem im się na kolana i leżeliśmy we wspólnym uścisku na kanapie, roześmiani, zadowoleni z życia i podekscytowani podróżą do centrum handlowego.

Grzegorz potrząsał głową i nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Nie, nie, nie – kręcił głową – a było tak ładnie i zwięźle… był nawet poniekąd uniwersalny wydźwięk… – dukał, ale rodzice już ubierali buty i płaszcze. – Telewizor przecież byłby wymienny… a ostateczny sens i tak będzie właściwie ten sam… – padł na kolana.

Też zacząłem zakładać niedawno ściągnięte obuwie. Grzegorz był teraz na czworakach i przemieszczał się do nas powoli, w agonii, jak zarzynany, skamlący pies.

– Było tak blisko… Niech to nie zamyka się w tym nurcie, błagam… – rzężał dalej, już czołgając się po ziemi.

Staliśmy obuci w przedpokoju i patrzyliśmy w milczeniu na leżącego, łkającego faceta. Nie wiedzieliśmy za bardzo co z nim zrobić. Ojciec po chwili ruszył do drzwi zrezygnowany.

– To chce pan z nami jechać do centrum handlowego? – zapytałem.

Spojrzał na mnie z podłogi, rozsierdzony.

– Oczywiście, że tak – podniósł się powoli i ociężale (z pewną pomocą z mojej strony), jak gdyby nigdy nic – muszę wiedzieć, jak to się skończy, no nie? – był obruszony, że zwątpiłem w jego determinację. Już zachowywał się normalnie, w sensie, jak na niego.

– Nie jest pan zły? Zdawał się pan czymś przejęty jeszcze przed chwilą.

– Nie, nie, już nic… – otrzepał się – Po prostu spodziewałem się czegoś lepszego i tyle – wyjaśnił podenerwowany.

Grzegorz otarł twarz ze śliny i ubrania z kurzu, a następnie ubrał buty. Skinął na mnie i matkę, że już jest okej, bo mieliśmy zmartwione miny. Wsiedliśmy do samochodu

ojca i ruszyliśmy. W samochodzie rzucał ciągle, że „to jest zbyt rozwleczone" i że to „zdecydowanie niepotrzebne wydłużenie". Gdy spacerowaliśmy już po centrum handlowym zrecenzował:

– Przepraszam, ale muszę tę część ocenić negatywnie, tzn. skorzystanie z ram dyskursu, nazwijmy to, antykonsumpcyjnego, oznacza wejście w wyeksploatowany już zanadto temat z ery postmodernizmu w czasach obecnych, tj. w czasach, moim zdaniem, wyraźnego już neomodernizmu. Wiem, że narracja to jedno, a temat to drugie, niemniej taki wydźwięk ostatecznie przyjmuje dzieło, jeśli zostanie tak zakończone, a jest to wydźwięk ograniczający, nieaktualny i wśród czytelników przyjęty z jakimś (na ogół niechętnym już, nawiasem mówiąc) nastawieniem. Ja oczywiście nie zapominam o wcześniejszym budowaniu kulturowo antagonistycznych portretów postaci, w końcu zderzonych ze sobą w słodko-gorzkim morale, to jest jak najbardziej w porządku i wpisuje się w oczekiwaną przeze mnie wartość dzieła pod względem odwołania się do zagadnień, powiedzmy, uniwersalnych oraz generalnie pod względem, nazwijmy to, intelektualnym itp. Wiem, że narzekałem nieraz i psioczyłem, ale, choć topornie, było naprawdę nieźle, a nagle wszystko runęło w najgorszym momencie. Telewizor nie równa się przecież konsumpcjonizmowi, mimo że może tworzyć takie skojarzenia. W gospodarstwie domowym ma wszakże różne funkcje i może być czytany bardziej prozaicznie, jako spoiwo dla poróżnionej kulturowo rodziny – mówił rozgoryczony.

Wysłuchałem go cierpliwie i przytaknąłem, lecz on kontynuował szarżę:

– Mogło być lepiej, można było obciąć tę końcówkę, jest przecież niepotrzebna. Po co w ogóle wchodzić w tę problematykę? – mówił. – Jakbyś to uciął trochę wyżej, to mogłoby być naprawdę okej, a sens utworu nie byłby tak bardzo wyeksplikowany… Czy raczej nie byłoby mowy o tym, czy sens jest, czy nie jest wyeksplikowany, bo trzymałeś się zwykłego obyczajowego realizmu, przedstawiałeś zwykłą historię poróżnionych ludzi. I to nawet nie szkodzi, że to rozmiarowo byłoby drobne, toż to mogła być urokliwa nowelka, to mogła być nawet miniaturka! No ale już chyba za późno, żeby to uciąć. Teraz wszystko już jest oczywiste, powiedziane wprost i na wierzchu, zwłaszcza że ja nie mogę się łaskawie zamknąć… Czemu dalej to ciągniesz?! Dość!

Rodzice go nie słuchali, bo szli kilkanaście kroków przed nami. Ja natomiast chciałem zgodzić się z Grzegorzem, wyraźnie skrzywionym zawodowo człowiekiem, że jakiś

tam dyskurs jest z jakiegoś tam powodu przestarzały, ale nie do końca i tak dalej. Niemniej naprawdę potrzebowałem kupić tego dnia spodnie i nieszczególnie interesowała mnie jego opinia. Grzegorz nie pisnął już słówka.

Po zakupach podeszliśmy do samochodu, który stał na olbrzymim parkingu, zastawionym lśniącymi w słońcu pojazdami. Grzegorz oznajmił, że już późno i musi się z nami pożegnać.

– „Koniec – powiedział Grzegorz" – powiedział Grzegorz i poszedł na autobus.

Inga Koralewska

Badaczka społeczna i autorka opowiadań. Publikowała w *Drobiazgach* i *Stronie Czynnej*. Mieszka w Australii.

Wyjątkowo ciepły maj

Mamie zawsze było zimno. Wszystkie okna i drzwi były obłożone gałganami i przez to mieszkanie wyglądało jak tabor cygański.

„Skądś ciągnie" – wyczuwała bezbłędnie, a potem okazywało się, że kot zrzucił koc z okna i zrobiła się szpara, przez którą wiało. Mówiła na te gałgany „ciciki".

„A jest z cicikiem?" – pytała, kiedy dzwoniłam powiedzieć, że znalazłam dla niej kamizelkę na promocji. Na nogach nosiła masywne wełniane bambosze, które obszyła na wierzchu skórką ze starego kożucha, przez co wcale nie przypominały kapci, tylko mordy australijskich dziobaków. W naszym domu nic się nie marnowało. Mówiła na te bambosze „cichobiegi".

Przez całą drogę do kostnicy myślę o tym, czy nie jest jej zimno.

„Spal mnie", mówiła, „Żeby nie było mi zimno".

Ale co z odcinkiem pomiędzy kostnicą a krematorium? Czy są jakieś trumny wykładane cicikami? Mężczyzna w brudnym fartuchu beznamiętnie wskazuje miejsce w rogu. Nie mogę pozbyć się myśli, że widział ją nago. Potem powoli dociera do mnie, że pudełko pod ścianą to „eko-trumna", którą wybrałam dla oszczędności.

Chcesz pochować mamę w kartonie? – pyta z wyrzutem teściowa.

Stoimy w piątkę przed szybą w krematorium. Ktoś odsłania przed nami welurowe kotary, tak jakby zaraz miało zacząć się przedstawienie. Nie trwa ono nawet minuty. Żadne z nas nie wie, jak się zachować, więc gapimy się w szybę z palcami splecionymi jak do modlitwy, chociaż wszyscy poza teściową jesteśmy niewierzący. Przedstawienie zaczyna się. Teściowa wydaje zdławiony dźwięk i odmawia „Wieczne odpoczywanie". Pudełko wjeżdża w płomienie.

Już jest jej ciepło.

Wybieram dębową urnę, która jest najbardziej elegancka i jako jedyna nie ma świecących elementów poza symbolem krzyża. Mama nie lubiła, jak się świeci.

„Ale się wyfiokowała. Wieś tańczy i śpiewa" – mówiła z pogardą o pani Grażynce Wąciorkowej, kiedy ta ubrała sukienkę z cekinami na imprezę z okazji Andrzejek. Dlatego nie wybieram ceramicznej pozłacanej urny, tylko taką z bordowego drewna. Chciałabym taką bez krzyża, ale to niemożliwe.

Potem dają mi urnę z prochami, a ja dziwię się, że jest taka duża. Mama ważyła tylko pięćdziesiąt kilogramów, a urna jest wielkości kociego transportera. Duża i ciężka jakby w środku był kot. Ale to nie kot, tylko prochy mamy.

Mama chciała żebym wysypała prochy do strumyka na naszej działce: „Niech mnie potem Stencel wypije w herbacie" – śmiała się. To był jej ulubiony żart. Sprawdzam w Internecie i okazuje się, że prochów na działkach w Polsce rozsypywać nie wolno. Co innego gdybyśmy były w Austrii albo w Szwecji. W Grecji na przykład mogłabym wysypać je do morza. Ale jesteśmy w Polsce więc pochowam mamę w Złoczewie pod Łodzią. Tam, gdzie leżą babcia i dziadek.
Wkładam urnę do kartonowego pudełka w tulipany. Jest trochę upaprane tłuszczem, bo zwykle przesiaduje na nim kotka, która ma zwyczaj wkładania łap do maselniczki. Potem godzinami przesiaduje na pudełku i zlizuje sobie to masło z łapek.

Sprawdzam, jak przewozi się prochy. Okazuje się, że w Polsce nie ma regulacji na ten temat. Ludzie przewożą prochy na różne sposoby: w samochodach, autobusach i pociągach.

Wieziemy więc mamę do Łodzi pociągiem „Nałkowska". Ludzie w Warsie jedzą schabowego z sałatką colesław, a my pijemy kawę ze śmietanką i chichoczemy z naszego sekretu.

Jarosław Maślanek

Prozaik, dziennikarz, zadebiutował powieścią „Haszyszopenki" (WAB, 2008). Wydał także: „Apokalypsis'89" (WAB, 2010), „Ferma ciał" (FORMA, 2015) oraz „Góra miłości" (WAB, 2018) i „Liczby ostatnie" (PIW, 2021). Jego opowiadania ukazały się m.in. w miesięczniku ZNAK, antologiach Autor przychodzi wieczorem (2012) i 2017. Antologia współczesnych polskich opowiadań oraz 2020. Antologia współczesnych polskich opowiadań. Uczestnik Europejskiego Festiwalu Debiutu Prozatorskiego w Kilonii (2009). Powieść „Góra miłości" była nominowana do EU Prize for Literature 2019. Tworzy i mieszka w Warszawie, pochodzi z poindustrialnych, zagubionych w puszczy Pionek.

Ci to chyba z innego wymiaru

Wnuczek i dziadek, wojna i pokój.

On między kilkunastoma szydercami, kiedy tamten z reklamówką wypchaną tym co z działki kuśtyka mimo. Do szablonowego zestawu ławkowych obelg dochodzą grubsze - z potencji, bo i piw dziś więcej. On się śmieje, głupio się nie śmiać, tak między nimi. Rechot wypędza ptaki z drzewa nad; stary mamrocze.

Jeden chichot gaśnie, jego chichot gaśnie; unosi dłoń, zgłasza się do odpowiedzi, gest ginie między lasem upitych rąk. To stanie na ławce, to się wywyższy, zakrzyknie:

- MÓWI, ŻE DO TAKICH JAK MY STRZELAŁ JAK DO KACZEK!

Kiedy pada jest jakby ściślej

W korku łysy za, dziecku przed, przez parę się przygląda (i zwrotnie), we mgle stopiętnastki buzia przy buzi, tu i ówdzie nos na szkle kreśli esy-floresy; przystanek napuchnięty tłumem na drożdżach, z krawędziami do okrojenia;

on po jednej stronie, zły, bo Wólka Kosowska dziś bez niego dil z Chińczykami ubija; musi z nią i małym po lekarzach, komunikacją miejską, przychodniami się pałętać,

ona z wózkiem po stronie drugiej, chciałaby się nie urodzić.

Sprzedam bezpośrednio, puste

Wszyscy troje mieli powody do zadowolenia; kierowca betoniarki wreszcie skończył zlecenia, wracał do domu; mężczyzna na rowerze znów niepostrzeżenie wymknął się z mieszkania, dzwonił; dziewczynka pędziła do urodzinowego kotka, który już czekał w pokoju.

Padało.

Po pierwsze, nie podjadaj

Zawsze, a zwłaszcza teraz, z czymś jej się to kojarzy. Te liście. Twoja twarz brzmi znajomo? Nie. Zresztą, i tak będzie liga. Jak zawsze.

Mogliby sprzątać, te liście.

Już wie! Tort orzechowy.

Kiedyś bardzo go lubił.

Piotr Paczkowski

Orientalista i językoznawca, tłumacz, po godzinach pisujący wymyślacz historii, miłośnik kampowej i mrocznej retroestetyki, eksplorator cudzej codzienności, niezwiązany z jednym czasem i miejscem, publikuje dotychczas niewiele, ale sporo wkrótce.

katastrofa klimatyczna w trzydziestu sześciu krótkich aktach (człowiekontra)

szorstkie onkoidowe miasto, ścierają się podeszwy od chodzenia. od oddychania ścierają się płuca. od głaskania murów ścierają się paznokcie, od mówienia ścierają się zęby. człowiek maleje w tym mieście, budynki rosną. miasto zbudowane jest z minerałów.

człowiek zbudowany jest z tlenu, węgla, wodoru, azotu.

miasto napiera na człowieka, daje mu cień, człowiek daje miastu słodkie myśli. miasto daje miastu istnienie, człowiek daje człowiekowi brzytwę. miasto daje istnieniu kieszeń, człowiek daje brzytwie trzustkę. kieszeń daje trzustce marzenia, marzenia dają człowiekowi podtekst, podtekst daje miastu ignorancję.

człowiek zabiera sam sobie świadectwa ukończenia podstawówki, obiekty westchnień, suche lądy, królów balu, zdarte kolana, wiersze rimbauda, šalamuna i blake'a, wystawne kolacje, place i skwery, mięso halal, wiertarko-wkrętarki.

człowiek nie ma domu w tym mieście, człowiek posiada przestrzeń od pierwszego budynku na świecie do ostatniego, którego jeszcze nie wybudowano. od najgłębszego poziomu piwnic, po wierzchołki drapaczy chmur.

człowiek posiada stal, szkło, beton, marmur, trawę, ziemię, piasek, papier, cukier.

człowiek traci głos, myśl, więź, człowiek ma krótkie ręce. nie dosięga drugiego człowieka, idą razem w kierunku promieni słonecznych.

człowiek dosiada szczebli dźwigu i wznosi się ponad miasto, skąd widzi niejednokrotność tego, co zauważał dotychczas z dołu, a inny człowiek na dole odchyla głowę, aż czuje strzyknięcie w szyi, dalej nie może patrzeć.

twarde kawałki miasta zalegają w gardle, płucach, uszach, nie można mówić z pełnymi ustami.

ręce same wyklaskują melodię.

kobieta z tatuażami na ramionach piecze rogaliki. kierownik produkcji nie reaguje na płacz pracowników. pies nie sprząta swojej własnej kupy.

chad gadja, człowiek zjada człowieka, którego zjada miasto.

miasto zjada człowieka, który nawet nie istniał. człowiek chwyta się sam za nogi.

przebodźcowanie w masowym grobie wszystkich ludzi. korzenie miasta wrastają w ziemię, naskórki, kości. człowiek po kawałku wychodzi na powierzchnię.

latarnia oświetla chodnik tylko do połowy. w poczekalni na lotnisku siedzi grupka roześmianych dziewczyn w hidżabach.

mężczyzna i kobieta stwarzają świat na kamieniu. ona trzyma go za spoconą dłoń, on zapomniał czy nadal ma swoje oczy. mężczyzn też swędzą ugryzienia komarów.

główną ulicą miasta przejeżdża taksówka, wysoko nad nią na balkonie zamarza pościel.

czterdzieści pięć tysięcy maleńkich larw muchówki tworzy pleń okrążającą po raz drugi skończoność wszechświata. kończynogłowy stapiają się i spieszą, nie widząc dokąd.

ich oczy spędzone są w przestrzeń pomiędzy odbytem, a tylnymi nóżkami, pole widzenia ogranicza się jedynie do tego miejsca, dokąd sięga kolejna larwa.

larwy zgodne co do kierunku, kolejności okrążania planet.

gryzą się, awanturują, przynoszą szczęście.

dzieci pokazują na globusie, gdzie jest ocean spokojny.

zupa powoli przypala się na najmniejszym palniku.

configuration manager, functional consultant, integration specialist i power platform developer piją kawę w kuchni z widokiem na miasto.

sytuacja: nieporozumienie (substancja glazurująca – szelak, barwnik – koszenila)

dobra, pyta akceleracjonista, dobra? i wskazuje na książkę czytaną przez młodą neomaterialistkę. sceneria: park, przestrzeń, neomaterialistka siedzi obok akceleracjonalisty na ławce, beton, słońce, przed i za nimi przetaczają się skotłowane plątaniny ludzi. dobra, powtarza akceleracjonista już mniej pewny siebie, neomaterialistka nie reaguje na jego jednowyrazową interrogację. kobieta: wschodnioazjatyckie rysy, długie rozpuszczone włosy, granatowy sweter typu golf, drogie skórzane buty, uśmiech poprzedzający komunikat, że nie mówi dobrze po angielsku. nie wie, czy dobra, bo kupiła pierwsza książkę z brzegu w taniej księgarni przy stacji metra. nie wie, bo kupiła ją, żeby się czymś zająć. zająć głowę, ręce, oczy. wyszukuje słowa w książce i próbuje zgadnąć, czy je rozumie. zazwyczaj zgaduje źle. mogłaby w równym stopniu czytać gazetę albo ulotkę leku przeciwbólowego. lub instrukcję obsługi kotła kondensacyjnego, opakowania po słodyczach. chociaż nie, te neomaterialistka zdążyła już sobie przyswoić, długo nie mogła się nauczyć listy składników: emulgator (lecytyna sojowa), cytrynian sodu, maltodekstryna, sorbitol.

e120 – koszenila, czerwony barwnik pozyskiwany z (żywcem?) wysuszonych, (żywcem?) zmielonych owadów z gatunku dactylopius coccus, odpowiedzialny za nadawanie czerwonego koloru jogurtom truskawkowym, sosom do dań orientalnych, napojom gazowanym, pomadkom do ust.

dactylopius coccus to inaczej czerwiec kaktusowy. dwa czerwce kaktusowe są zakochane, a sto pięćdziesiąt pięć tysięcy zakochanych czerwców kaktusowych daje kilogram koszenili.

dla dorosłego człowieka o masie ciała osiemdziesiąt kilogramów dopuszczalne dziennie spożycie to czterysta miligramów, czyli sześćdziesiąt (żywcem?) ususzonych i (żywcem?) zmielonych czerwców kaktusowych.

dwa zakochane czerwce kaktusowe osiadają na tej samej areoli, którą dotyka akceleracjonista. mężczyzna: nienaturalnie pociągła twarz, ostre rysy, jedwabna koszula z impertynencko rozpiętymi dwoma guzikami, pokazuje dłoń, w którą wbijają się tysiące mikroskopijnych glochidów. kobieta zamiast je wyciągać, wmasowuje je w swoje dłonie, dotyka nimi ust i języka. spod paznokci mężczyzny zaczyna wydzielać się złotawa ciecz. akceleracjonista i neomaterialistka uśmiechają się do siebie.

e904 – szelak, naturalna żywica pozyskiwana z wydzieliny wytwarzanej przez owady z gatunku kerria lacca. czerwce szelakowe.

czy czerwce szelakowe umierają podczas pozyskiwania żywicy? czy czerwce szelakowe odczuwają kiedykolwiek szczęście? akceleracjonista i neomaterialistka wybuchają śmiechem.

dobra, po raz ostatni pyta akceleracjonista, ta książka, czy się podoba? teraz jest pewien, że uzyska odpowiedź. neomaterialistka wstaje i strzepuje krwawy pyłek z kolan, zagryza wargi i pokazuje jak spod jej paznokci wypływa lawa. podnosi spódnicę, pokazuje jak po jej udach spływa wstrętna pahoehoe, otwiera usta, z których tryska lawa, wylewa się, opróżnia się całe ciało neomaterialistki, jest już jej tak niewiele, leży w magmowej kałuży, akceleracjonista kopie jej nadwiędłe ciało, dobra – ok?

Aleksy Poklękowski

Urodzony 17 stycznia 1998 roku w Gdańsku. Student filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Publikowany w „Stronie Czynnej”. Mieszka w Pelplinie.

Pan Zbigniew

Zawsze śpiewał tę samą dziwną piosenkę. Siadał wtedy pośród nagrobków, pośród drzew, a twarz miał pomarszczoną, a twarz miał smutną, i myślałem wtedy – pradziadek też jest stary, i wujek Georg też jest stary. Ale oni tak nie wyglądają. Pytałem więc ojca – dlaczego ten Pan, co dba o groby, co nigdy nie bywa chory, taki smutny chodzi? A może nie pytałem, może tylko patrzyłem na niego z pytaniem w oczach – bo nigdy mi nie wytłumaczył. Mówił tylko cichaj już, cichaj, módl się.

Tam najdalej w przeszłość, gdzie ja, tam i on. Moje trzecie urodziny – pamiętam tort, pradziadka prawie stuletniego śpiewającego sto lat, i cmentarz, na który pojechać musieliśmy. Musieliśmy, bo jak się powszechnie we wsi naśmiewano, Leszkowscy kochają cholerne grobowce. I może to i prawda, może kochaliśmy, bo trochę tam krewnych leżało, a krew nie woda, tak łatwo jej z koszuli nie usuniesz. Modliliśmy się więc nad grobem starej Leszkowskiej, kiedy podszedł do nas ten Pan. Nie uśmiechnął się do mnie tak, jak zazwyczaj wtedy dorośli się do mnie uśmiechali, jedynie spojrzał wzrokiem tak starym jak wielkie katedry o czerwonych cegłach, i powiedział: Wszystkiego najlepszego, mały Kaszubo.

Chodził zgarbiony wtedy tak, jak miał chodzić przez resztę życia, nie nachylał się więc do mnie mocno. Ja zaś przyglądałem się prezentowi, który dopiero co mi wręczył. Dziwne, małe, czarne pudełko, z jakimiś napisami i liczbami, których nie rozumiałem. Chciałem spytać, lecz już mnie ignorował, już ojca pozdrawiał, dzień dobry, Panie Macieju, co u dziadka Helmuta słychać?

W domu pokazałem tacie to dziwne, czarne puzderko.

- To stroik do gitary. – Tłumaczył mi. – Jak będziesz dość duży, to mamy na strychu gitarę po Twojej prababci, jeśli będziesz chciał.

Dorastałem więc powoli do tej gitary, bawiąc się puzderkiem. Tata powiedział mi, że wychwytuje ono dźwięki, pokazuje kiedy są prawdziwe, a kiedy fałszywe. Na niedzielnych spacerach przykładałem je więc do kolejnych nagrobków – mamy, babci i prababci, strzałka jednak nie poruszała się nigdy. Starszy Pan spacerował wtedy między drzewami, wiatr rozwiewał mu siwe włosy, nigdy nieuczesane. Czasami tylko podchodził, wciąż smutny, jakby zmartwiony, i pytał taty – czy to już? Czy to już?

Aż w końcu pewnego dnia znalazł mnie ojciec zagubionego pośród strachów na strychu, i wiedział że to już.

- Zapiszemy Cię na lekcje gry do Pana Zbigniewa.

Pan Zbigniew siedząc garbił się jeszcze bardziej, niż podczas swoich obchodów cmentarza.

- Zaczniemy, mały Kaszubo, od podstaw. Weź swoją gitarę, i chwyć ją, o tak. Spokojnie, to wymaga czasu.

A na gitarze znał się może nawet lepiej niż na wzorach, w jakie układały się jesienne liście zdobiące nasze cmentarne aleje.

- Ja nie choruję, nigdy nie choruję, może poza tą jedną, podstawową chorobą, która każdego z nas toczy, cholera. Także no, ten tego, zajęć odwoływać nie będę.

Zawsze śpiewał tę samą, dziwną piosenkę. Była jedną z pierwszych, którą nauczyłem się grać.

- Twoja prababcia ją lubiła – Wytłumaczył mi, kiedy w końcu odważyłem się go spytać. - A ja lubiłem ją, bardzo ją lubiłem. Nie, stroik nie do tego, ty ich nie usłyszysz nigdy. Ale oni może usłyszą ciebie.

Chodziłem więc na cmentarz wraz z Panem Zbigniewem, i kiedy on śpiewał, ja grałem.

- Ja ich wszystkich pamiętam. I dlatego tak jest lepiej, niż jakby kto obcy to miał być. Ja ich wszystkich pamiętam. A jak ktoś Ci z Gdańska przyjedzie, to co to dla niego, no co, tylko imiona za którymi nie ma żadnych twarzy, tylko kupa kamieni, gruz, nie ludzie, gruz. A gruz to już nie słucha na pewno.

I rozmawialiśmy, dużo rozmawialiśmy przez te wszystkie lata. Pytałem: Dlaczego tak Pan dba o te groby? Dlaczego nigdy nie bywa Pan chory?

- Tyle lat, młody Kaszubo, tyle lat. Wtedy, kiedy skończył się podły czas, obiecaliśmy sobie z twoją prababcią – będziemy dbać, będziemy pamiętać. Będziemy im grać, bo dawniej bardzo lubili to nasze granie. W końcu i Janka się zmęczyła, powiedziała mi pewnego dnia: Zbychu, Ty graj dalej, ja muszę chwilę odpocząć. Więc chodziłem, dbałem, śpiewałem

i grałem – przychodzili do mnie kolejni, i babcia Twoja, i matka Twoja. Ale w końcu i one mi mówiły: Panie Zbychu, Panie Zbigniewie, niech Pan gra dalej, my odpoczniemy. Więc grałem. I to dlatego ja taki zdrowy, bo muszę być zdrowy, muszę o nich dbać, śpiewać im i grać.

Aż w końcu skończyłem szesnaście lat. Sam już grałem, i sam śpiewałem. Pan Zbigniew tylko słuchał. I uśmiechał się, pierwszy raz widziałem go uśmiechniętego. Powiedział mi: Dobra, młody, Ty sobie graj dalej, a ja pójdę chwilę odpocząć. I poszedł, a ja, kiedy mogę, wracam do nich wszystkich, i pamiętam, i dbam. I tylko starsi mieszkańcy wsi powtarzają do siebie szyderczo, kiedy widzą mnie spacerującego z gitarą między alejami, że Leszkowscy kochają te cholerne grobowce.

Adam Zapalnik

Pseudonim Żanety Gorzkiej, warzywożernej poetki i warszawianki, autorki czterech książek poetyckich. Lubi urządzenia wytwarzające skupione wiązki światła. W 2022 roku wyda swoje ostatnie dwie książki poetyckie.

MAŁY KAPITALISTA

– Karol*, zostaniesz i poczytasz mi?

Puścił klamkę i zawrócił na pięcie.

– Jasne, ty mały materialisto. Zobaczmy, co tam masz…

Dłuższą chwilę jego dłoń błądziła po moich ikeowskich półkach z książkami. Wreszcie się zdecydował. Odchrząknął i usiadł przy mnie, zakładając nogę na nogę. Buty miał schodzone, z jasnymi sznurówkami wiązanymi na podwójną kokardę. Poślinił palec wskazujący prawej dłoni i lewą dłonią otworzył książkę na chybił trafił. Roześmiałem się.

– „Pierwszego wieczoru zasnąłem na piasku, o tysiąc mil od terenów zamieszkałych. Byłem bardziej osamotniony, niż rozbitek na tratwie pośrodku oceanu…”*

Głos Karola z miejsca przeniósł mnie na rozpalone piaski Sahary, gdzie pewien ranny pilot awionetki budził się właśnie ze snu, a odważny mały chłopiec (ja!) siedział koło niego w kucki, rysując patykiem pierwszego kapitalistę…

---

* Karol Marks – twórca socjalizmu naukowego, filozof.

* Antoine de Saint-Exupéry, *Mały książę*, przeł. Jan Szwykowski.

ROZMOWY NA STRONIE

Przemysław Suchanecki

Ur. w 1992 r. w Szczecinie. Poeta. Publikował m.in. w „Odrze", „Opcjach" i „2miesięczniku". Laureat „Połowu" oraz projektu „Pierwsza książka" w ramach festiwalu Stacja Literatura. Mieszka w Krakowie.

Piotr Borkowicz

Urodził się w 1994 roku. Publikował w „Kontencie", „Blizie", „Autografie" i „Stonerze Polskim", finalista projektu „Połów. Poetyckie debiuty" w latach 2020 i 2021, na co dzień redaktor kwartalnika „Strona Czynna", pisze wiersze i mieszka w Gdańsku.

SORRY NOT SORRY. RAPORT: WIBRACJE

Rozmowa Piotra Borkowicza z Przemysławem Suchaneckim

Wydaje się, że czas to główny wymiar w świecie „O". To zbiór z różnych punktów w czasie i przestrzeni czy bardziej cykl? Do której koncepcji jest Ci bliżej?

Ciekawie wyczułeś, bo na początku ta książka faktycznie miała być jednym, długim cyklem, którego punktem wyjścia miało być to, co teraz możemy przeczytać pod tytułem "Wojny". Zamysł był taki, żeby te części jakoś się ze sobą łączyły, układały w historię, choć nie w jakiś logicznie sprecyzowany sposób. Ale z Czasem (hehe) wkradł się w to wszystko chaos i zburzył plany. Ostało się 5 części, kilka dalszych odłączyłem i stały się niezależnymi wierszami, kilka przepadło. Bliżej mi jednak do wizji pisania w rytmie życia - nieregularnie, na różne tematy, które przychodzą kapryśnie, tak też, po prostu, pisze mi się przyjemniej, a i rezultat takiego nieregularnego wysiłku bardziej mnie finalnie satysfakcjonuje. Na większe kawały tekstu może jeszcze przyjdzie Czas.

A co ma z wspólnego z tym wszystkim Witold Wirpsza?

Wirpsza, jeśli prześledzić jego poetyckie dzieło, jest bardzo zaskakujący, nie powtarza się, z książki na książkę ewoluuje skokami i niesamowicie pręży umysł. W chwili, gdy pisałem wiersz, gdzie pojawia się jego nazwisko leżała mi na kolanach jego książeczka "Mały gatunek", bardzo różnorodna. Mieszczą się w niej zarówno wiersze poruszające wysokim stylem, jak i awangardowe eksperymenty, ale także zabawy zahaczające o grafomanię.

Między innymi książki Wirpszy, całe, autorskie tomy wierszy, uświadomiły mi, że spójność stylu jest ideałem, do którego, owszem, można dążyć komponując taką książkę, ale nie trzeba i czasem takie nadmierne zniewolenie przez ten ideał wręcz szkodzi. To jeden sposób, w jaki można na obecność Wirpszy spojrzeć. Drugi to taki, że potraktowałem go

po prostu jako rekwizyt, jako nazwisko nieżyjącego autora, którego akurat czytałem i równie dobrze mógłby to być Dante, czy Rimbaud, to bez większego znaczenia.

Bez większego znaczenia wydają się też być "sklepowe wibracje". Podmiot Twoich wierszy jest nimi nieprzekonany. Piszesz o uczuciu zmęczenia vibem generowanym przez mechanizmy podaży i popytu. Czy Twój podmiot je przepracował?

Niedługo po publikacji "Wtracenia", sam akt wypuszczenia w świat części siebie w postaci książki z wierszami podziałał na mnie mocno otwierająco. Uświadomiłem sobie, że nagle coś, co stworzyłem umyka spod mojej kontroli i staje się częścią (jakkolwiek niewielką, ale zawsze) rynkowej gry. Być może należy to rozumieć szerzej, jako w ogóle zmęczenie światem, gdzie wciąż daje się i bierze, a oba te gesty stają się niekiedy po prostu męczące i wymagające wiele wysiłku. I jeśli rozumieć je tak, to mam wrażenie, że zarówno podmiot-autor, jak i podmiot-twór autorskiej wyobraźni w pewnej mierze, dość krótkiej, jak ich życie, te "rynkowe" relacje przepracowali, ale czeka ich obu jeszcze długa droga.

Obraz topniejącego lodu wisi nad tym Twoim światem jak bomba z opóźnionym zapłonem. Czy to nie jest tak, że „O" to taka ironiczna pocztówka wysłana przyszłym pokoleniom?

Trochę można to tak nazwać, w każdym wierszu staram się namalować jakiś przynajmniej jeden konkretny obraz, który można by sobie z mniejszą lub większą łatwością wyobrazić. Pod tym względem można faktycznie użyć słowa "pocztówka". Ale jeśli miałbym sam określić, co dla "przyszłych pokoleń" (które właściwie już tu są!) zostawiam to raczej raport. Sprawozdanie z chaotyczności, niestałości i naszych usilnych, a zarazem koniecznych prób, żeby chaos upchnąć w formę, raz na zawsze go "ustalić", usidlić, co oczywiście na dłuższą metę się nie udaje, dlatego, że entropia wciąż zmienia imiona i etykietki. "Topniejący lód", katastrofa klimatyczna to tylko jedno z tych imion.

Czyli wysyłasz message "Sorry, ale nie mogliśmy nic zrobić, bo wszystko zostało ustalone za nas"?

Z grubsza tak, chociaż usunąłbym "sorry", no bo jeśli nie mogliśmy nic zrobić to za co przepraszać?

Gdzie w Twojej książce jest miejsce na cykliczność, skoro Planeta próbuje nas przepuścić przez swój system immunologiczny? To przecież bilet w jedną stronę. Nie będzie następnego „początku", wiosna nie przyjdzie. A jeśli przyjdzie to ostatnia, taka w której wszystko się roztopi na zawsze.

Mówiąc o tej "immunologii" planety, to takie po prostu miałem przeczucie pisząc te wiersze, nie zastanawiałem się bardzo mocno nad implikacjami, czy przyszłością wynikającą z obrazów w nich zawartych, poza tym, że chciałem po prostu dać upust dość pesymistycznej i lękowej wizji, którą miałem wtedy w głowie.

Jakoś łatwo mi przyznać po lekturze „O", że jednak jesteśmy zarazą, nowotworem, który wkrótce wykończy Ziemię. Czy o to Ci chodziło? Zarazić wątpliwościami, nakłonić do rachunku sumienia?

Tak, dokładnie o to mi chodziło, w okresie pisania tych wierszy miałem jak najbardziej pesymistyczną i ciemną wizję ludzkiej natury, która dąży do samozagłady na jedynej planecie, na której jest w stanie swobodnie żyć. Czy chciałem wzbudzić wątpliwości? Jak najbardziej, zawsze chętnie. Czy nakłaniam do rachunku sumienia? Jeśli będą czytać tę książkę jacyś decydenci to tak, ale mam wrażenie, że i tak nie piszę dla nich, więc muszę odpowiedzieć przecząco.

To trochę surowe podejście do czytelnika, nie uważasz?

Nie chcę, żeby było łatwo i przyjemnie, mnie samego jako czytelnika irytują i nudzą książki nazbyt łatwo podające się do odbioru, więc takie też chcę prezentować. Poza tym, mam wrażenie, że na pewnym etapie komponowania "O" zdałem sobie sprawę, że wierszami takimi jak "Młynówka", czy "Ślepe berło" przytłaczam odbiorcę pesymizmem, więc starałem się rozrzedzić tę ciężką atmosferę wierszami nieco lżejszymi, bardziej wynikającymi z czystej zabawy jak "Międzynarodówka 71", czy "15 grudnia 2020", żeby trochę przepleść nastroje.

Piszesz trochę o tym, że dzisiaj mało co jest wytworem nas samych. Twoim zdaniem proporcje pomiędzy produkcją a konsumpcją niebezpiecznie się zaburzyły?

To jest refleksja, która pojawiła mi się wraz z podjęciem regularnej, pełnoetatowej pracy. Choć tak naprawdę, jeśli się zastanowić, takie poczucie braku sprawczości na osobistym poziomie towarzyszy chyba wielu ludziom. W każdym razie mam przykre wrażenie, że wielu obywateli tej planety czuje się podobnie. Nie chciałbym z tego wysnuwać jakichś daleko idących, systemowych wniosków.

Czy to nie jest tak, że sami nie mamy już z czego budować, tylko powtarzamy dany przekaz jaki panuje w naszej bańce?

Kultura trochę polega, jak dla mnie, na powtarzaniu przekazu z jakiejś bańki i na zderzaniu się z innymi bańkami, więc ogólnie rzecz biorąc mam wrażenie, że zawsze tak było. Teraz sytuacja zmieniła się o tyle, że baniek są setki i tysiące i z każdą trzeba się liczyć, żeby być intelektualnie uczciwym, a przynajmniej tego się wymaga, jeśli chcesz aktywnie funkcjonować w liberalnej demokracji, w liberalnym społeczeństwie. Taki stan rzeczy jest zwyczajnie męczący, przebodźcowuje, dezorientuje i prowokuje do izolacji.

Według Ciebie nasza uwaga to najcenniejszy prezent jaki możemy komuś dać. Coraz częściej replikujemy, powtarzamy, wzmacniamy zasięgami przekaz, który już istnieje. Dokładamy się „lajkiem" albo naciskając przycisk *Follow/subskrybuj*. Czy ma zastosowanie nie tylko w przypadku twórczości czy ekonomii ale przede wszystkim ideologii, poglądów?

Pytasz o świat elektroniczny, który już jest wielką i istotną częścią ludzkiej przestrzeni. Z jednej strony jest pochłaniający, fascynujący, w pewnym sensie dziki i nieokiełznany, a z drugiej osacza i zaburza prawdziwą komunikację. Nie chcę w tym ostatnim stwierdzeniu brzmieć jak sfrustrowany boomer, ale tak to często odbieram, szczególnie jeśli chodzi o świat mediów społecznościowych. Książka, czy w ogóle literatura funkcjonuje dla mnie jako przestrzeń, gdzie można się skryć, chociaż przez jakiś czas żyć i myśleć w inny sposób. Aprobata, uwaga jest czymś, co w świecie elektronicznym stało się bardzo cenną walutą, a literatura wciąż jednak - i chwała jej za to - gwarantuje przestrzeń bardziej zniuansowaną, gdzie nie tak łatwo o ocenę na jeden z sześciu przewidzianych z góry sposobów. Dlatego tak, myślę, że takie proste amplifikowanie uwagi ma zastosowanie tak naprawdę do wszystkich dziedzin życia, które da się zaprezentować w internecie. Za to literatura jest chyba tą dziedziną, która, mam nadzieję, takiemu prostemu aktowi oceny umyka.

Czyli z jeden strony coraz więcej replik, a z drugiej, może repliki i kopie to jedyne co nam tak naprawdę zostało?

Być może, ale wciąż mam wrażenie, że zależy to od tego jak wytrwale szukamy czegoś oryginalnego dla siebie.

Jak wyglądali przedstawiciele Hare Kryszna z Union Square? Czym się różnili od tych, których możemy spotkać np. Na naszym woodstocku?

Niestety, nie mogę w pełni odpowiedzieć na to pytanie, bo nigdy nie byłem i chyba nie będę na naszym Woodstocku (hehe). Natomiast nowojorscy krysznowcy urzekali pomarańczowymi strojami, zausznymi mikrofonami, bębenkiem, stanowiskiem z książkową propagandą, jak również brutalną nietolerancją na okolicznych bezdomnych, co w tej relaksującej sytuacji, gdy siedziałem na brzegu fontanny i zajadałem soczystą brzoskwinię, dość mną wstrząsnęło.

Zainteresował mnie utwór Velux. Z łaciny to połączenie słów *ventilation* (wentylacja) i *lux*, czyli światło. Trochę jakbyś próbował wpuścić trochę światła, otwierając okno. Jaki jest z niego widok?

Velux to po prostu firma produkująca okna dachowe i takie okna, być może z tej firmy, mam w swoim krakowskim pokoju, hehe. Widzę przez nie głównie niebo, podobne niebo, jakie widziałem wylegując się na trawce w Central Parku, na skalistej wysepce trędowatych nieopodal Krety, czy pod paryskim Luwrem. Spędzając swój tydzień w Nowym Jorku pomieszkiwałem właściwie w stanie New Jersey, w miejscowości Nutley, pół godziny drogi autobusem od Manhattanu, co zawsze było ekscytującą podróżą, gdy ten jeżozwierz drapaczy chmur wyłaniał się powoli zza pagórków, ehh.

I tym nowojorskim akcentem kończymy. Dzięki za rozmowę.

STRONA WOLNA

Justyna Artym

Od niedawna wykleja zaangażowane makatki, zdążyła je pokazać na wystawie zbiorowej „Poranek Walpurgii" w ramach festiwalu Wioska Teatralna 2021 organizowanego przez Teatr Węgajty oraz dołączyć do międzynarodowego projektu solidarności z Białorusią „White-Red-White/Wstęga Nadziei". Współzałożycielka, prowadząca i organizatorka cyklu spotkań Olsztyński Literacki Miesięcznik Mówiony i grupy twórczych kobiet Półkowniczki. Pisze teksty, publikowała je w czasopismach i prezentowała podczas festiwali literackich i akcji artystycznych.

Jana Shostak krzyczy

Usnarz Górny

Obrazy ludzi, którzy nam zagrażają

Kamil Jankowski

Ucząc się o ludziach, zachowaniach i zwyczajach, zauważam, że jest to ciągła spirala, która prowadzi tylko do coraz większego zgłębiania tematu. Kropka to kreska o takiej samej długości i wysokości, a jest ona głównym punktem oparcia w każdej mojej pracy. Prace mają wciągać odbiorcę, ma on zostać zaabsorbowany możliwościami, jakie każdy postawiony na papierze znak daje i zachęcać do stawiania linii na papierze. Skupienie się na tak prostej, ale i skomplikowanej czynności jest zaprzeczeniem i kontynuacją tego, co mnie otacza.

Michalina Janyszek

Poetka, warsztatowiec, a nawet copy; związana z Olsztynem. Teksty pochodzą z książki „Podróż do kieszeni”, która ma ukazać się w tym roku.

ptasie radio

Zbudować w sobie atrium i skierować na nie wszystkie okna. Tylko najpierw trybik. Jego pierwsze drżenie, gdy zaczyna kręcić się za ruchem. Prosty mechanizm obronny. Zębate koła ust już zahaczają o kolejne. Nic ci to nie mówi. Głuchy sygnał, ale architekci wiedzą swoje. Ich plany już zwijają w gniazdach wielkie machiny. Takie, gdy dorosną, zniosą domy.

dziki rozmaryn (bagno zwyczajne)

Pokrój - wysoki grubo zielony krzew cały w pędach do przodu. Szybciej! Bo w ziemi już drgają wiertełka. Czujesz ich ukłucia, gdy rozsadzam ci plecy jednym palcem? Na jego końcu młode gałązki. Wzniesione lub podnoszące się.
Liście krętoległe, ciepłe i skórzane. Na wymianę. Nowi producenci elips pełnych powietrza. Medaliści. Ich blaszka z wierzchu ciemna i połyskliwa.
Kwiaty obupłciowe, pięciokątne, promieniste. Zebrane na końcach ostatnich spotkań w białe baldachimy. Mają skarbce pełne kielichów i koron.
Owoc - zwykła torebka. W niej mnóstwo nasion, a każde ostrą spiralą wciąga ziemię.

zapał

Schodzisz coraz niżej. Śpiączka zwierzęca, roślinna, kamienny sen. Aż gałka słońca zaczyna drgać ci w oku. I na raz robi się spokojnie, prawie wesoło. Masz na sobie odświętny strój, żywo wkładasz ucztę w usta jaskini. Białe stoły długo siłują się tam z ciemnością. A ona nawet nie wie, kiedy cię połyka.

czytanie z dłoni

Matematyk dla układu równań nie jest prawdą. Choćby nigdy nie skłamał, ma tylko dwie cechy, w których trzyma sześć linii. Prawdopodobnie któraś mówi o jego losie. Reszta

nie znaczy nic. Przez lata szukania na to dowodu kreda wkradła się w skórę. Wytarła głowę jak gąbka - arcywróg układów. Jednak nic się z tym nie równa.

Marianna Matczak

Ur. 26.08.199 r. w Bydgoszczy. Absolwentka Bydgoskiego Plastyka, aktualnie studentka Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Spędzając większość czasu skupiając się na obiektach zabytkowych, czuje się oderwana od rzeczywistości, którą próbuje na nowo odkrywać w swoim szkicowniku. Tworzy rysunki, linoryty, kolaże, będące często transferem uczuć czy obserwacją okolicznego chaosu. Sama nazywa ten proces autoterapią, wypisując i rysując zupełnie luźną ręką. Zazwyczaj odchodzi od idealizacji, wprowadza do swoich prac śmiałe zniekształcenia wychodząc z założenia, że to właśnie gest jest wyższą wartością niż poprawność i piękno.

FOBIA

ŻYCIE
ŚMIERĆ
CZY OBIEKT?
żeby dziwną poezję
poczuję
bo dzwonie pomyślane uczucia

te oczy miały w sobie
- ból
mimo zapewnień
mimo uśmiechu
to była
wielka strata
dla urody
a gdzie podziała się
miłość?
straszna!

TERAZ
gnębiony na bramach
Bóg na ekranach

zapisy
emocji
myśli
idei

ze płaszcz. emocjonalnej?
spokojności

Damian Obara

Studiuje na Akademii Teatralnej, dlatego o poezji myśli jak o teatrze. Większość jego wierszy już nie jest o ekipie Friza. Chętnie zrobi jakieś collabo.

Ostatnio coraz rzadziej wygrywam w kamień papier

Chcę zebrać wszystkie litery alfabetu
chcę zamówić wszystkie potrawy w mcdonaldzie
chcę zatankować 100 razy na tej samej stacji
chcę spędzić całą noc pod wodą
chcę zalać powodzian **HAJSEM**
chcę zjeść najwięcej kalorii
i chcę mieć własnego karła
na open micu
zmierzyć się z mini majkiem
chcę kupić mustanga
z dzikiego kapitalizmu
ujeżdżę go jak byka
bo mam silne uda
on zwiększy mój zasięg
chcę wykupić całą energylandię i kopalnię bełchatów
będę behemotem rynku family friendly
chcę żeby zrobili to w moje urodziny
mogą nawet przesadzić
i nigdy tego nie przeżyć

Chcę żeby moi przyjaciele byli szczęśliwi
jesteśmy przecież rodziną
ja jestem twój brat
a ty jesteś mój big brother
wujek łuki jest jedynym dorosłym
w naszej niehierarchicznej kooperatywie

Jestem największym snem Piotrusia Pana
razem z ekipą
chłopców i dziewczyn których znalazłem
przeżywamy w polskim neverlandzie

nasz polisz dream
latamy wysoko
chociaż nie ma tu narkotyków
tylko dobra zajawka
nasz pyłek wróżkowy to pm 10
czasem pm 2.5
ale żaden nas nie sponsoruje
wersow to moja Wendy
kocham ją jak matkę
ale coraz częściej myślę
że się nie nadaje
to tyle
nie będę reinterpretował powieści
kocham moich ludzi
zabiję ich kiedy dorosną

Jestem spełnieniem wszystkich waszych marzeń
o życiu którego nigdy nie może być
kapryśnym bogiem
w tym śmiesznym panteonie
każdy jest tu
pół dionizosem
pół young leosią

Pierdzę zawsze bezgłośnie chyba że celowo
będę drugim waltem disneyem
ale się nie zamrożę
umrę na livie
wstąpię na clouda
ludzie zapiszą me story

A ja powiem
niewidzialny palec algorytmu

niewidzialnej ręki rynku
klika mnie
milionem kursorów klawiszy
kock chciał się z tą ręką siłować
ale ja ją chętnie uścisnę
i ucałuję
z języczkiem
jeśli będzie trzeba
to w łokieć

A ja przeproszę
panie szeryfie
ja nie jestem zły
ani brzydki
ja jestem dobry
chciałem tylko mieć bardziej
być bardziej
mieć zasięg
mieć basen z tysiąca galaretek
mieć przyjaciół
małych i dużych

A ja wyznam
że mieliśmy tylko bałtyk
a ja chciałem być pacyfikiem
oplatać ziemię
przepastną tonią

surfuj po falach algorytmu on jest jak morze digital ocean

w górę w dół
w górę w dół
w górę

w dół nie patrz
w górę
w górę
wejdź pod falę
wejdź na falę
utrzymuj się na powierzchni
patrz w górę
prezentuj się godnie
na tej zgniłej desce
z kartonu
kupionego na kredyt
który przemókł

surfuj po falach algorytmu on jest jak morze digital ocean

Mateusz Wątor

Ur. 23.11.1994 w Jaworznie, nie w oddalonym Chrzanowie, wychowany przez Matkę Beatę absolwentkę Filologii Polskiej, absolwent Technikum Elektronicznego w Libiążu i niedoszły absolwent Historii na UPJP2 w Krakowie. Nieoznaczony żadną oznaką, nagrodą, wyróżnieniem, włóczykij, filantrop, bajkopisarz. Przez życie idzie w niezawiązanych butach, ciągle nie wywalając się. Zobaczył Petersburg, Sarajewo, Abchazje, Patryjarsze Prudy, Estońskie lasy, Ormiańskie Góry, Gorczański Park Narodowy. Niczyj mąż, kochanek, nielicznych przyjaciel.

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

M. WĄTOR

KĄSKI

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

KĄSKI

ARTUROWI KĄSKOWI

MARYSI SIOSTRZE

MARTYNCE PRZYSŁOŚCI

ANTOSIOWI CHRZEŚNIAKOWI

KRAKÓW HOTEL MONIKA

CZERWIEC 2018

M. Wątor

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

WYTĘŻ MYŚLENIE I SWĄ
WYOBRAŹNIE PLANETY ZOBACZYSZ
ZE MNĄ DORAŹNIE

W JEDNĄ Z TYCH PLANET DZIŚ
WYRUSZYMY NIE MAJĄC
RAKIETY I PIĘKNEJ DZIEWCZYNY

PLANEATA TA MIEŚCI SIĘ W
INNYCH MGŁAWICACH TZ. INACZEJ
KOSMICZNYCH DZIELNICACH

MIESZKAJĄ TAM STWORKI DZIWNE
NIE ZNANE PRZEZ TEGO AUTORA
KĄSKI NAZWANE

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

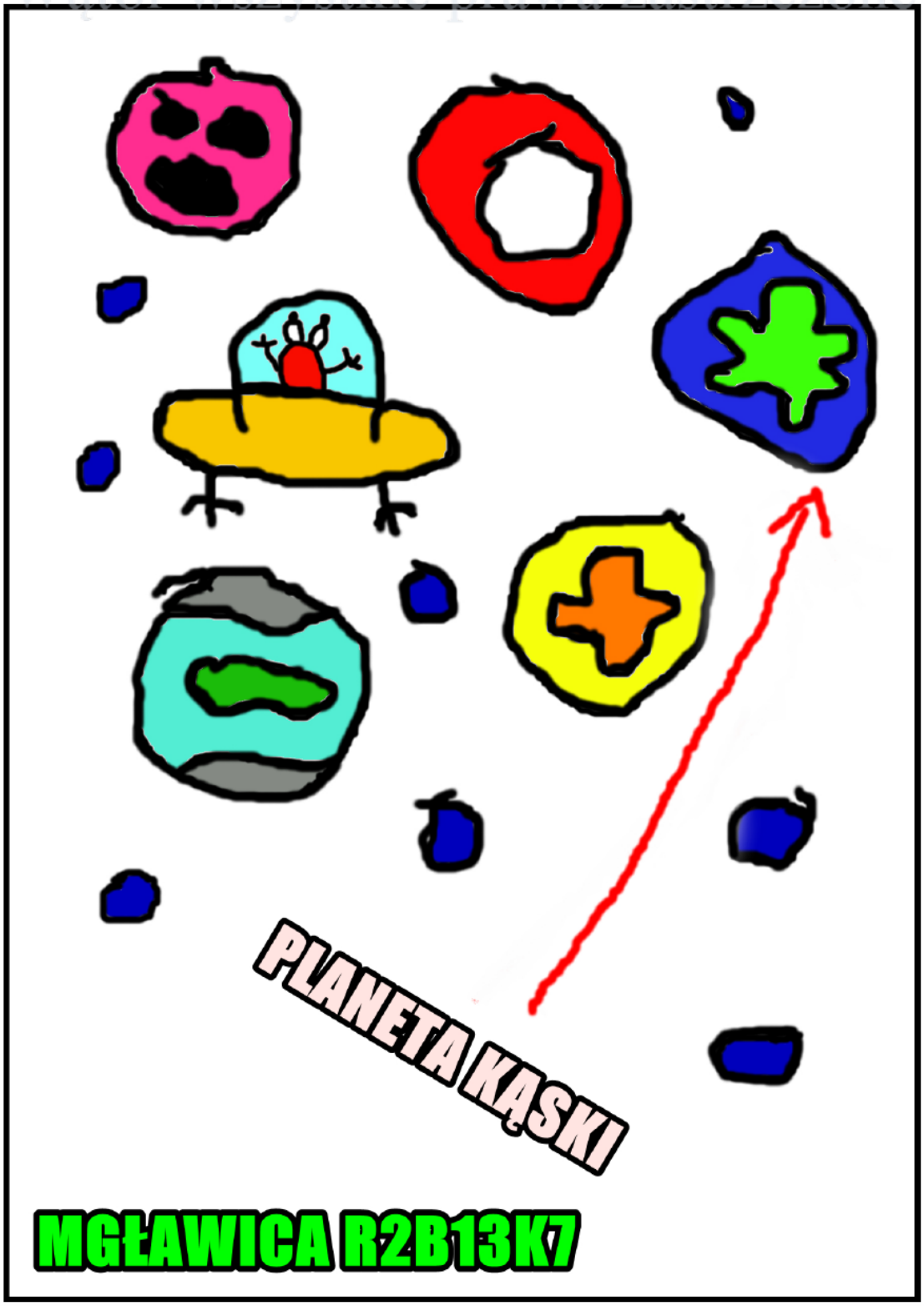

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

KĄSKI DO LUDZI SĄ NIE PODOBNE
MAJĄ WŁOCHATE CIAŁKA
MALUTKIE RĄCZKI I WIELKĄ GŁOWE

JEDYNIE RÓZNI JE KOLOR FUTERKA
PRZEZ TO KĄSEK NA KĄSKA
Z ZAZDROŚCIĄ ZERKA

KAŻDY KOLOR COŚ TU OZNACZA
A KAŻDY JEST INNY CZARNY
CZERNONY NIEBIESKI LUB PIWNY

W TYM KOLORZE NAJWIĘKSZY KŁOPOT
BO GDY KĄSEK JEST BIAŁY TO
MARZY BY SIĘ ZROBIĆ NA FIOLETOWO

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

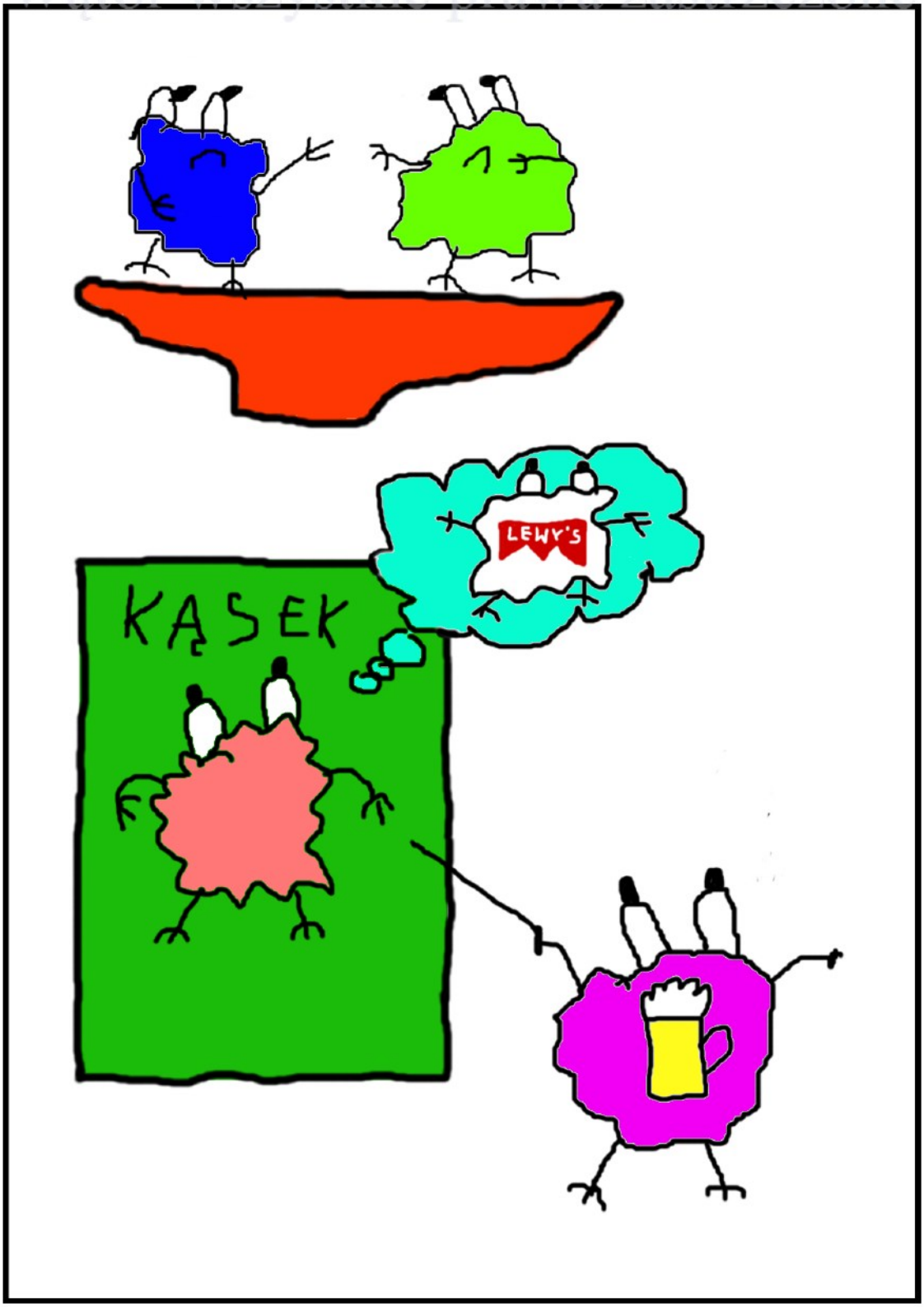

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

TU WARTO POWIEDZIEĆ O KĄSKACH
WIĘCEJ CO LUBIĄ CO ROBIĄ
CZY MAJĄ WIDELCE

CZY W RÓŻNYCH JĘZYKACH
ROZMAWIAJĄ CZY DNIAMI TELEWIZJE
ZACIEKLE OGLĄDAJĄ

Z ZAJĘĆ TYCH STWORÓW DUŻO NIE
POWIEM NIE ZNAM ICH ZASAD I LITER
CO ZROBIE

PRACUJĄ CIĘŻKO PRZEZ WIĘKSZOŚĆ
ŻYCIA LECZ FARBA JEST U NICH NIE
DO ZDOBYCIA

PRZEZ TO ŻE TOWAR TO DEFICYTOWY
ICH CELEM JEST KOLOR
INNY NIŻ ZDROWY

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

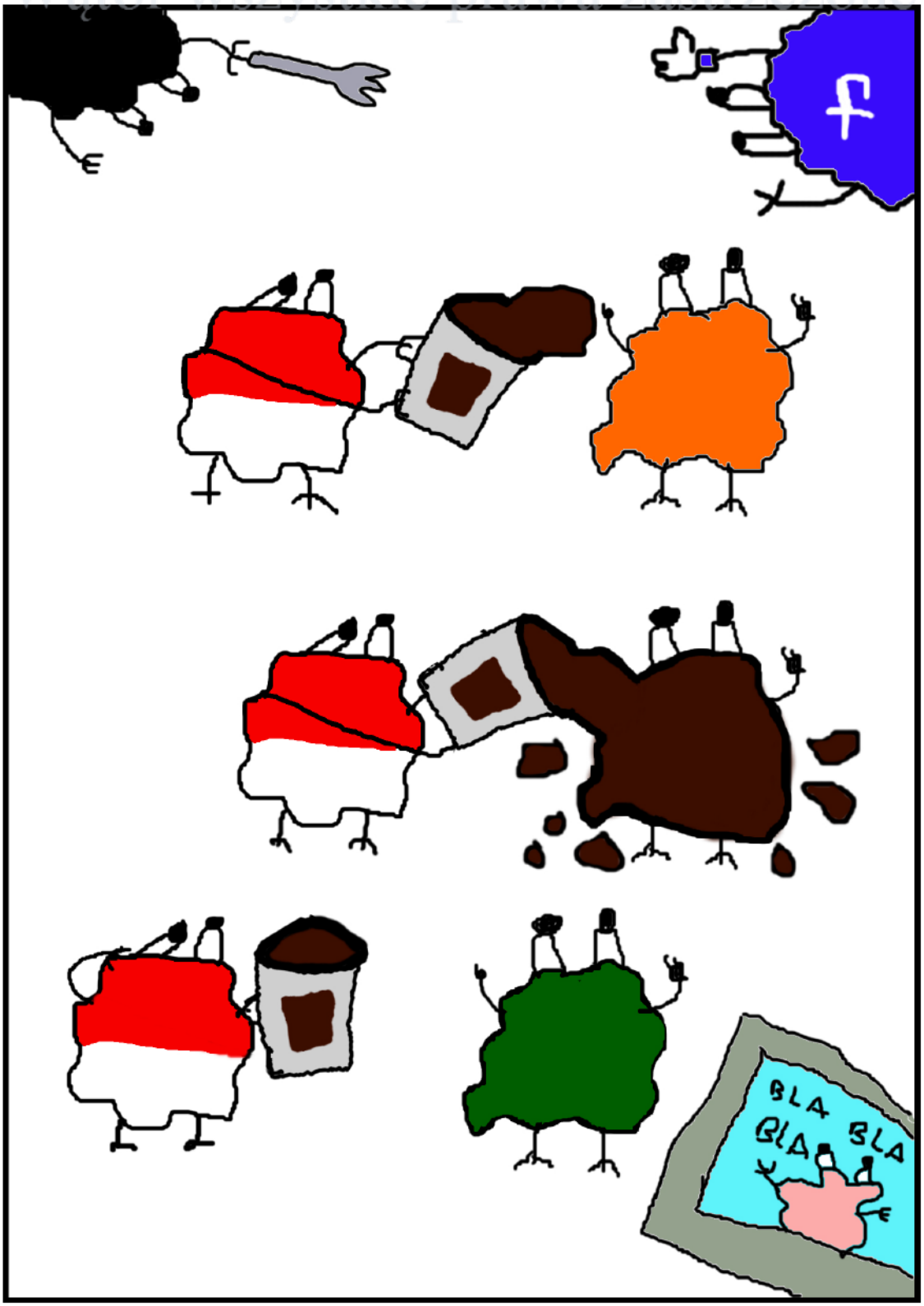

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

I TERAZ MEJ BAJKI CHYBA JES GŁĘBIA
BO KĄSKIE ŻYCIE TO TAKA KOMEDIA

MOGLIBY CZAS TRWONIĆ
ROZWAŻNIEJ NIŻ BYCIE PYSZNYMI
CIĄGLE NIEPOWAŻNIE

NA SIŁE KOLORY SWOJE ZMIENIAJĄ
PRZEZ TO PROBLEMY ŻYCIOWE MAJĄ

BO KAŻDA ROZMOWA U NICH SIĘ ZACZYNA
CZEŚĆ JESTEM KĄSEK KIEDYŚ BRĄZOWY
A DZISIAJ NA RYSIA

Wator wszystkie prawa zastrzeżone

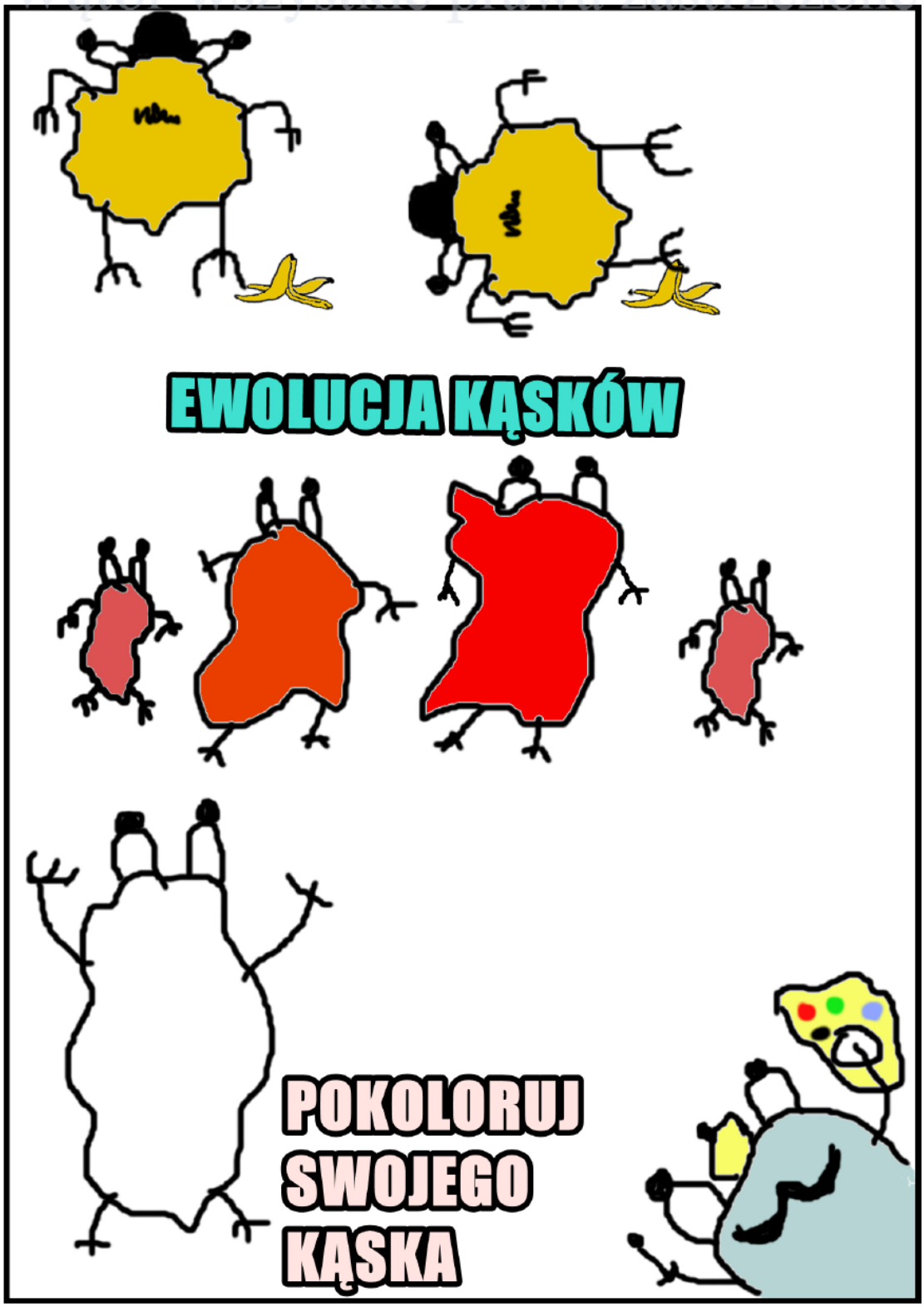

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

TERAZ TU WEJDZIE ÓW NASZ BOHATER
TEŻ KĄSEK WŁOCHATY NIE RÓŻNI
SIĘ WCALE

CHOĆ BYŁBYM SKŁAMAŁ ON MIAŁ COŚ
INNEGO Z KOLORÓW NIE WIDZIAŁ
PRAKTYCZNIE ŻADNEGO

I CAŁE SWE ŻYCIE DZIWIŁ SIĘ LUDZIĄ
DLACZEGO I PO CO TAK STRASZNIE
SIĘ TRUDZĄ

DLA NIEGO KAŻDY BYŁ TAKI SAM
SZARY WŁOCHATY
PO PROSTU BEZ WAD

Wator wszystkie prawa zastrzeżone

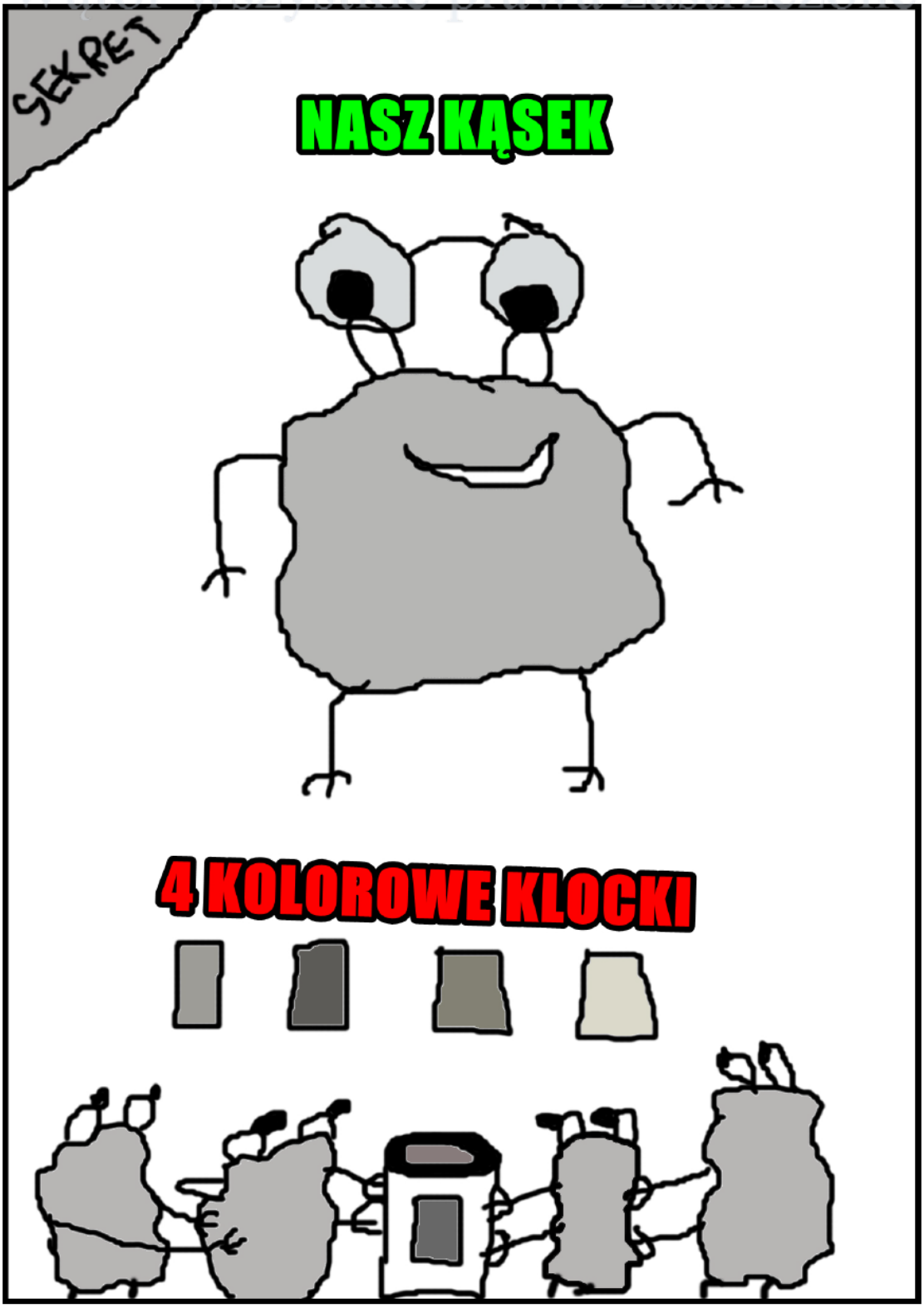

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

PRZEZ TĘ ODMIENNOŚĆ KĄSEK MIAŁ
TRUDNIEJ NIKT GO NIE CHCIAŁ SŁUCHAĆ
BO DLA NICH BYŁ DURNIEM

SNÓŁ SIĘ BEZ CELU PO NASZEJ
PLANECIE SZUKAJĄC SWOJEGO
MIEJSCA NA ŚWIECIE

ZACZĄŁ ODKRYWAĆ ZAGWOSTKI
PLANETY CZYTAĆ I SŁUCHAĆ
OGLĄDAĆ BZDETY

A GDY JUŻ DOJRZAŁ ZOBACZYŁ
ŚWIAT TAKIM JAK CHCIAŁ
SAMOTNYM I SZARYM LECZ
PIĘKNYM TAK

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

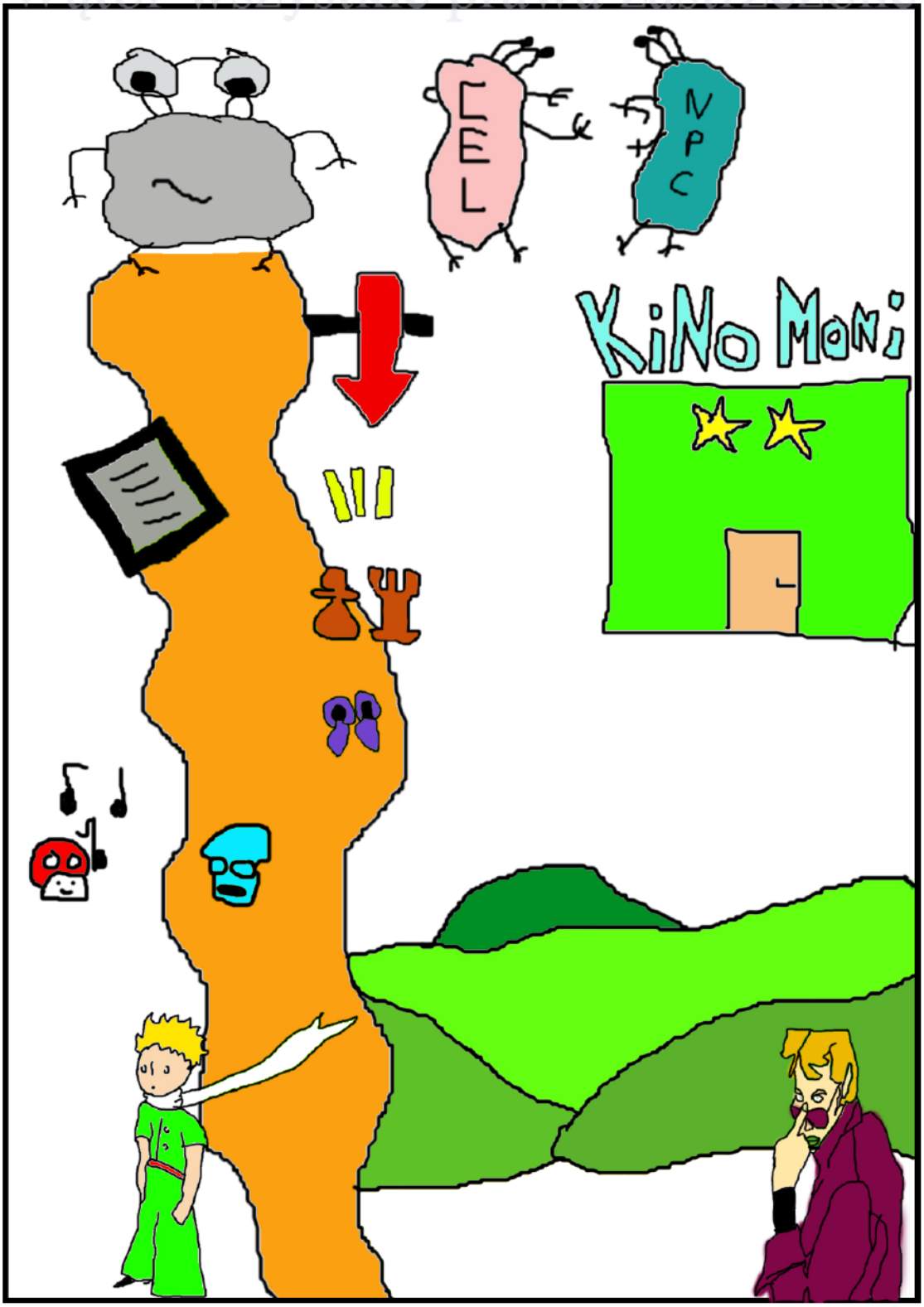

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

I NAGLE KĄSIARZA SPOTKAŁ ÓW CUD
LUB INNY KĄSEK CO PO ŚWIECIE
SIĘ SNUŁ

ZACZELI ROZMAWIAĆ O RÓŻNYCH
RZECZACH O ŚWIATŁACH KOŚCIOŁACH
I ŚMIESZNYCH ŻOŁNIERZACH

GDY KONWERSACJI GODZINY MIJAŁY
KĄSKA NASZEGO DOPADŁY OMAMY

BO JEGO ROZMÓWCA Z BRAKU
ODCIENIA NAGLE PO PROSTU
NORMALNIE ZZIELENIAŁ

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

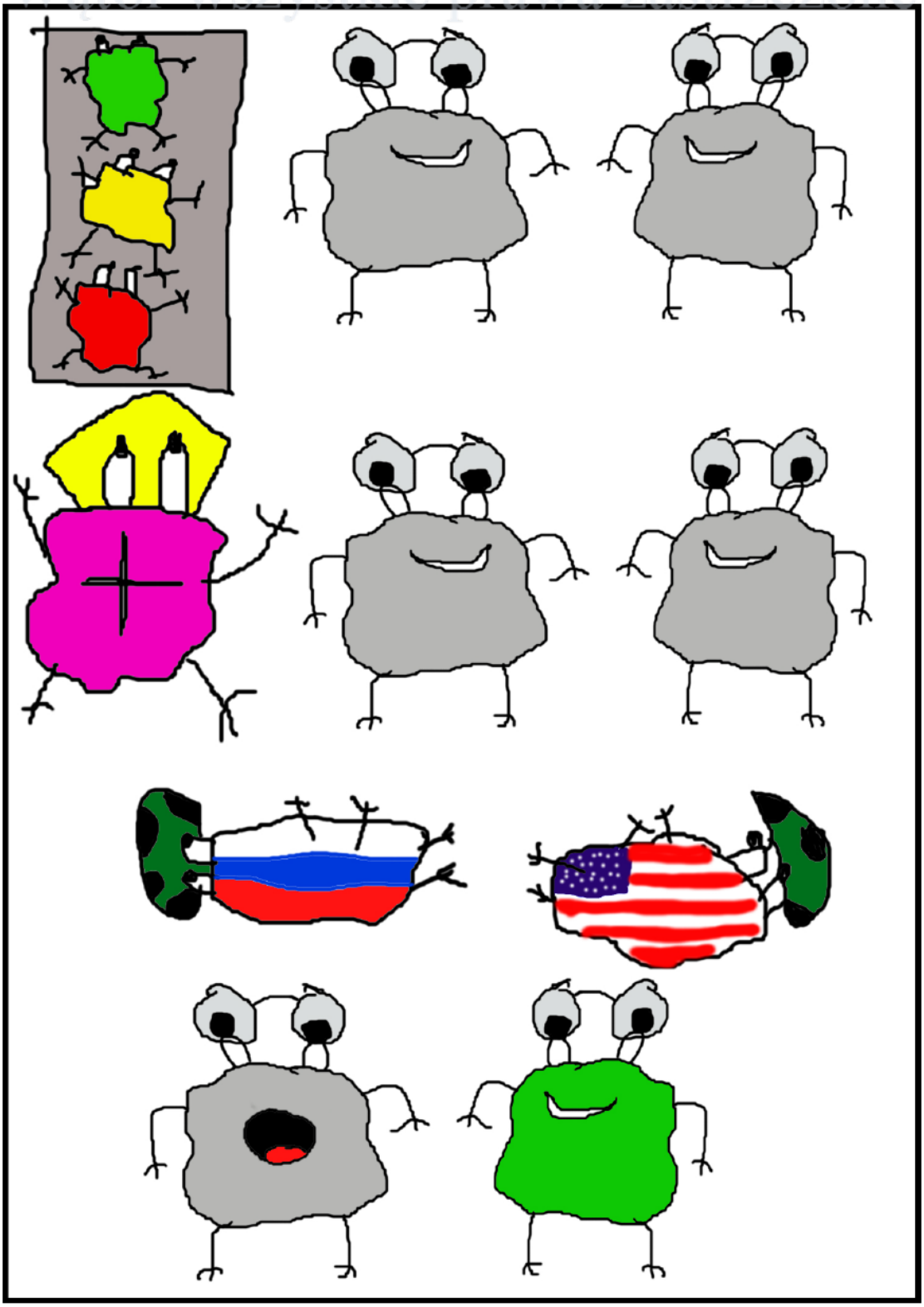

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

I TU DOCHODZIMY POWOLI DO KOŃCA
GDYŻ GRUPA KĄSIARZA SIĘ BARDZO
ROZROSŁA

NIE BYŁ JUŻ INNY MIAŁ SWOJE KĄSKI
I CZAS ÓW SPĘDZONY WESOŁY BEZTROSKI

DLA INNYCH WARIACI I DZIWNI
STRASZNIE LECZ W SWOJEJ KOMPANI
NORMALNI POWAŻNIE

NA KONIEC NIE BYLI JUŻ TYLKO KĄSKAMI
NAJLEPSZE KĄSKI
TA NAZWA ZOSTANIE

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

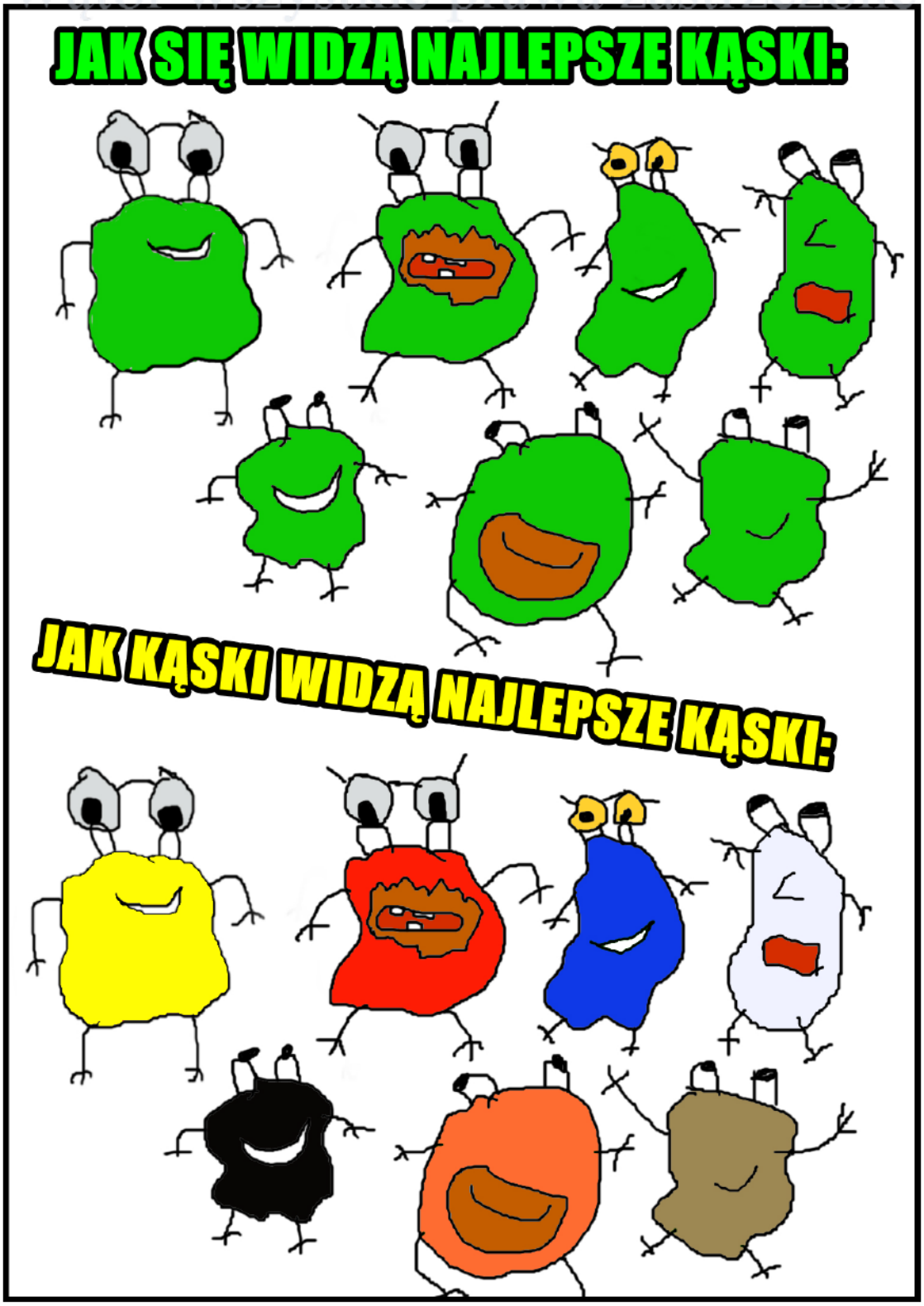

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

PRZENIEŚMY ICH TERAZ DO ŚWIATA
NASZEGO I PHONÓW YOU TUBA
I GRY W CHOWANEGO

WIELE SIĘ KĄSKI OD NAS NIE RÓŻNIĄ
W SERDUSZKACH KĄSIARZY TEŻ
MIESZKA PRÓŻNOŚĆ

WIĘC RADĘ DAM DOBRĄ CI MÓJ
SŁUCHACZU NIE PATRZ NA KOLOR
GDY PRZYJAŹŃ CZAS ZACZĄĆ

W TO CO JEST GŁĘBIEJ ZOBACZ
WYTRWALE PRZYJACIEL NIKÓW
NIE MUSI MIEĆ WCALE

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

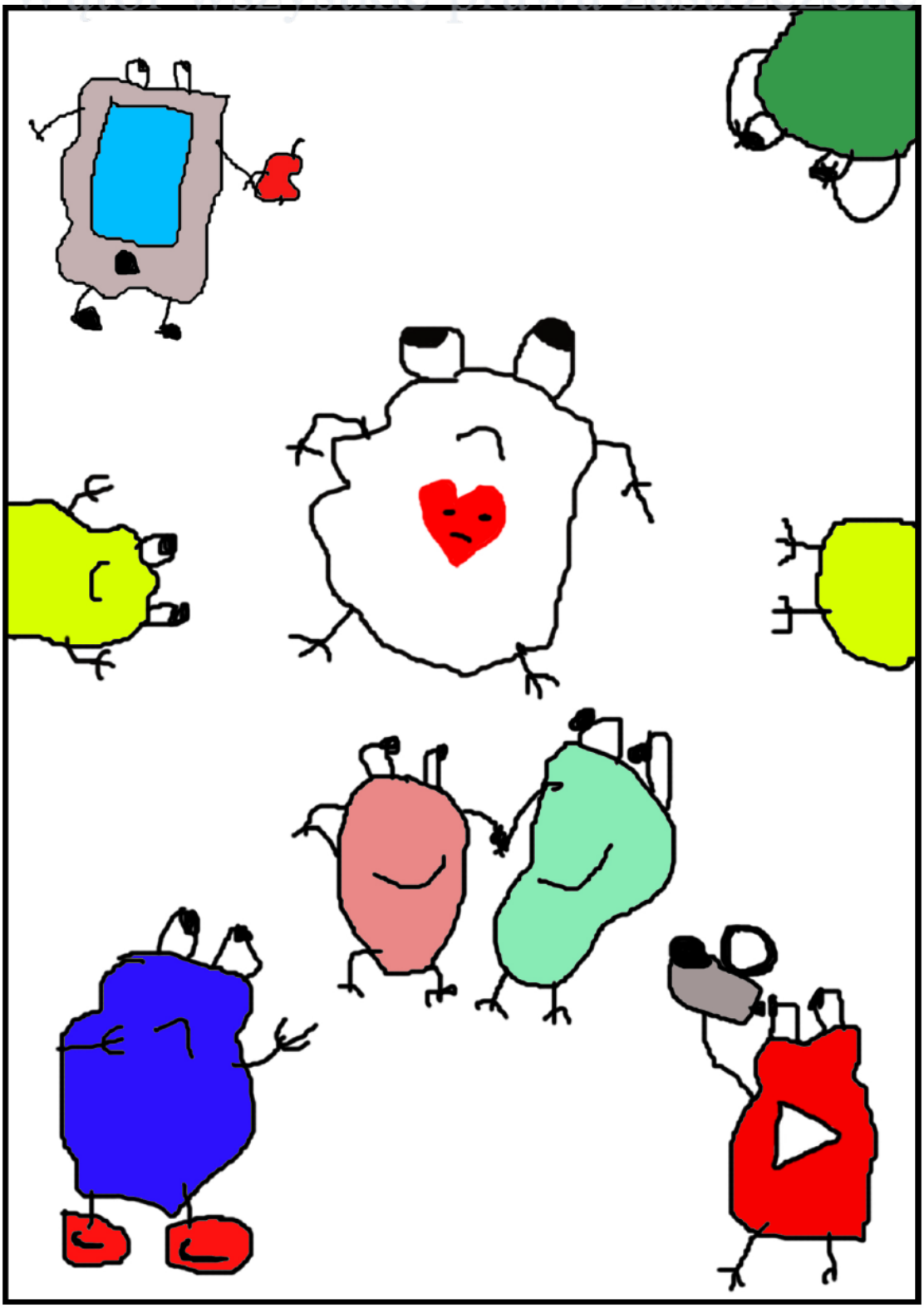

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

NA KONIEC DODAM JESZCZE OD SIEBIE
NASZ SZARY KĄSEK
NAPRAWDE ISTNIEJE

MIESZKA GDZIEŚ OBOK CIEBIE I MNIE
ODWIEDŹ GO CZASEM A BĘDZIE CI LŻEJ

PAMIĘTAJ ODE MNIE PANA WĄTORA
PRZYJAŹŃ TO WIĘCEJ NIŻ
KOLOR ODWŁOKA

WIĘC KIEDY JUŻ SPOTKASZ SWOJEGO
KĄSKA POKOCHAJ I BĄDŹ Z NIM
TO PROSTA ZAGWOSTKA

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

Wątor wszystkie prawa zastrzeżone

ZDJĘCIE MOŻE BYĆ NARYSOWANE

OPIS

TYŁ

WYDAWNICTWO

CENA

STRONA CZYNNA

czynna.com